Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 10 zł

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 19 października 1947 r.

Nr 40 (119)

Instytut Bałtycki Wydział Biblioteczn
Bydgoszcz Al.1 Maja 48

Biblioteka

CIV 9037

Jerzy Falenciak

Od Świętochowskiego do Śreniowskiego

Aleksander Świętochowski w zakończeniu przedmowy do I tomu „Historii chłopów polskich“ [1]) tak szacuje swe dzieło: „Jakkolwiek znane mi są lepiej niedostatki tej mojej pracy, niż je dostrzec może krytyk, nie podaję jej czytelnikom na kolanach, ze skruchą bijąc się w piersi i prosząc pobłażania, mam bowiem nadzieję, że ona da im jakąś korzyść i nieco wzmocni słabe dotychczasowe oświetlenie historii chłopów polskich“.

W dwadzieścia lat z okładem Stanisław Śreniowski w „Dziejach chłopów w Polsce“ [2]) pisze w rozdziale poświęconym historiografii tego przedmiotu, iż „rzecz Świętochowskiego jest dziełem publicysty“ oraz, że „ten czołowy pisarz pozytywizmu polskiego nie dał nic ponad namiętne oskarżenie przeszłości i to nie tyle polskiej co obcej, z której czerpie jaskrawe obrazy okrucieństw“.

Przed kim Świętochowski wzbraniał się paść na kolana i bić w piersi — trudno dziś domyśleć się z całkowitą pewnością. Może przed tymi, którzy mieli ganić mu dzieło bez zastrzeżeń; może przed tymi znów, co mieli je chwalić z zastrzeżeniami. A może przed jednymi i drugimi naraz?

Śreniowskiego, dzięki przytoczonej dopiero co krótkiej ale kategorycznej ocenie „Historii chłopów polskich“, zaliczymy do drugiej grupy krytyków Świętochowskiego. Postaramy się następnie zastanowić nad problemem, czy Świętochowski „nie dał nic ponad namiętne oskarżenie przeszłości“, wyłączają z rozważań jego rzeczywiście przydługie wywody na temat chłopskiej historii u obcych.

SPRAWA POLSKIEGO FEUDALIZMU

Odżegnywanie ustroju starodawnej Polski od feudalizmu było naukowym zadaniem dla wielu naszych historyków, piszących oraz nauczających na przełomie ubiegłego i bieżącego wieku. Przyczyn dostosowania Polski średniowiecznej od europejskiego feudalizmu mogło być wiele, ale jedna — niewątpliwa, a mianowicie: tradycyjne dążenie oficjalnej nauki do *retuszowania surowego obrazu* instytucji niewoli chłopskiej w Polsce, zwanej niemal powszechnie poddaństwem.

Jeżeli też nawet który z badaczy naszych dziejów postawił kiedy tezę feudalizmu polskiego jako zagadnienie tytułowe, to jego ostateczne wnioski wypadały przeważnie negatywnie lub były bardzo bliskie zaprzeczenia tej formacji ustrojowej w przeszłości naszego kraju.

Historiozoficzny daltonizm ówczesnych naukowców, którzy w stosunkach polskich nie dopatrywali się lub dopatrywali z trudnością znamion feudalizmu, jest dziś oczywisty. Ich błąd bowiem polegał na bezwzględnym wykorzystywaniu argumentu, że stosunki te nie dadzą się w określonym momencie dokładnie pokryć wzorcem ustroju zachodniej Europy.

W tej atmosferze publicysta Świętochowski spostrzega na przekór przekonaniu autorytetów, że chociaż pojęcie *własności* i *wolności* miało w różnych czasach dopowiedzmy także, w różnych miejscach) odmienne znaczenie, to jednak w wiekach średnich każdy musiał poddać się jakiejś opiece i zapłacić za nią odpowiednią zależnością, podobnie jak dzisiejszy Hindus, który nie może istnieć poza obrębem kasty, gdyż chodząc luźno stałby się wyrzutkiem społeczeństwa, pozbawionym jego opieki, jaka ona by nie była. Okrzyk „Biada samotnemu!“ budził rozliczne echa także po zakamarkach polskiego średniowiecza.

Wysunięcie zastrzeżeń przeciwko aksjo-

Aleksander Świętochowski

matowi, że Polska nie miała feudalizmu, wyglądało tedy na herezję historiozoficzną, chociaż było tylko odkryciem prawdy, prostym jak wszelkie inne odkrycia.

Słuszna i wyczerpująco dowiedziona późniejsza teza Śreniowskiego, iż w Polsce *niewola prawna* na ogół *poprzedzała niewolę gospodarczą*, nie jest więc dziś twierdzeniem osamotnionym. Ale kto wie, czy teza ta nie znajdzie i teraz jeszcze więcej przeciwników niż zwolenników. *Dlaczego*

DLACZEGO PODDAŃSTWO A NIE NIEWOLA?

Ze sprawą feudalizmu w Polsce wiąże się ściśle sprawa chłopskiej niewoli, tej niewoli, którą wielu nazywa *poddaństwem*, unikając drastycznego wyrazu *pańczyzna*. Konstrukcja poddaństwa, oznacza społeczny wyzysk w stopniu niższym od udręki i wyzysku pańszczyzny.

Znaczny zastęp profesorów i publicystów polskich twierdził i twierdzi nadal, że niewola osobista tj. niewola we *właściwym* znaczeniu tego wyrazu (grecko-rzymskim), była u nas nieznana. Tak R. Kube, B. Ulanowski, A. Bocheński, A. Krasiński, St. Kutrzeba, J. Rozwadowski, J. Rafacz, T. Korzon i inni nowsi.

Świętochowski zapytuje wręcz: Jakie ma być „właściwe znaczenie“ wyrazu „niewola“? Czy starożytne? Wyjaśnia także zaraz, że w różnych środowiskach kultury instytucja ta nie mogła pozostać niezmieniona, a rozumiejąc inaczej możnaby przyjść do wniosku, że w Polsce i całej Europie średniowiecznej nie znane było małżeństwo (matrymonium) ani kapłaństwo (sacerdotium), pismo (scriptura), pieniądz (pecunia) — „we właściwym znaczeniu“ tych starożytnych wyrazów.

Wdawszy się w spór z rzecznikami koncepcji „poddaństwa“, zaprzeczającymi istnienia chłopskiej niewoli w Polsce — tym razem przez przymiarkę z prawem rzymskim — Świętochowski nie osiągnął nic ponad to, że odwrócił zagadnienie: „dlaczego poddaństwo a nie niewola“ — w zagadnienie: „dlaczego niewola a nie poddaństwo“. Lecz samo to przedstawiało już wiele, bardzo wiele, skoro ten postępowy autor nie potrafił jeszcze przenieść sprawy położenia społecznego chłopa z płaszczyzny *prawa cywilnego* na płaszczyznę *czysto społeczną*.

Po Świętochowskim dopiero Śreniowski, bodajże pierwszy, ujął dzieje chłopów od strony wyłącznie społecznej, *socjalno-ustrojowej*, co mu pozwoliło na konsekwentne wykazanie rozwoju niewoli klasy chłopskiej w Polsce od czasu powstania tej niewoli aż do czasu jej ostatecznego rozkładu, który nie należy do odległej przeszłości lecz przypada na naszą dobę. Odrzucenie przez Śreniowskiego koncepcji poddaństwa, jako czegoś innego i mniej intensywnego od niewoli, jest rezultatem odrzucenia raz na zawsze metody prawa prywatnego z obszaru dociekań nad istotą pańszczyzny. Pańszczyzna jest przede wszystkim *formą ustroju polityczno-społecznego państwa*, a nie tzw. faktem prawa prywatnego, cywilnego, wszystko jedno czy rzymskiego czy zwyczajowego średniowiecznego.

To co nie wyszło Świętochowskiemu udało się Śreniowskiemu, tak że ostatecznie wstydliwa teoria „poddaństwa“ znalazła się tam, gdzie jej dziś najwłaściwsze miejsce, tj. w lamusie „szlacheckiej“ historiografii.

„CMETHO SEU CHLOP“

Śreniowski dowodzi, że nazwa „chłop“ przyszła do nas ze wschodu w XV wieku. Przed tym chłopów w Polsce nazywano kmieciami, rzekomo od łacińskiego comes = towarzysz.

Świętochowski natomiast przyjmuje za najpewniejsze, że wyraz „kmieć“, aczkolwiek nie polski, jest niewątpliwie słowiański. Za tym przemawiałoby określenie spotykane np. w zapiskach sądowych Ziemi Czerskiej z XV w. w których „chłop“ jest odległym dość synonimem makaronistycznego „cmetho“ — kmieć.

Otóż i zagadnienie dla filologa, ale nie w tym rzecz tutaj.

Świętochowski spośród wielu określeń dla polskiego chłopstwa, jak kmieć, chłop, wieśniak, włościanin, wybrał określenie „chłop“, najmniej popularne w środowisku, w którym żył i działał. Nigdy jednak nie silił się przy tym na definicję lub sklasyfikowanie warstwy chłopskiej, co jest wadą jego dzieła, wynikającą bądź z braku jednolitej metody naukowej w pracy, bądź też z jego uprzedzeń społecznych, jako członek środowiska liberalno-szlacheckiego.

Książka Śreniowskiego za to rozpoczyna się wywodem ustrojowym, w którym definicja warstwy chłopskiej wygląda w sposób następujący.

Obecnie chłop jest kim innym niż mieszkaniec miasta. Ta różnica objawia się przeciwieństwem środowiskowym między wsią a miastem. — Dawniej zaś chłopem był głównie ten, *kto nie był panem*, żył na małej działce ziemi pracując sam tylko z rodziną. Do chłopów zaliczyć także należy bezrolnych mieszkańców wsi, pracujących fizycznie u pana lub u zamożniejszego chłopa — gospodarza. Do niedawna wszakże różnica między chłopami a panami miała podkład już tylko ekonomiczny, warunkujący bezpośrednią różnicę kultury i sposobu bycia, co nie wyobrażało już różnicy prawnej, jako przegrody między stanem prawnym chłopów a stanem prawnym panów czyli szlachty.

To określenie jest niejako fundamentem „Dziejów“ Śreniowskiego, którego brak w „Historii“ Świętochowskiego czyni ją chaotyczną i częstokroć chwiejną w użyciu podstawowych kategorialnych pojęć.

PRZESZŁOŚĆ CHŁOPSKA U ŚWIĘTOCHOWSKIEGO I U ŚRENIOWSKIEGO

Przeszłość „chłopska“ według „Historii“ Świętochowskiego kończy się na pierwszym tomie tej pracy, tj. z upływem XVIII wieku. Według „Dziejów“ Śreniowskiego chwila ta przypada niepomiernie później, bo na rok 1944, a ściślej biorąc — na dzień 6 września tegoż roku, który jest datą wydania dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego o pełnej reformie rolnej i jej natychmiastowym wykonaniu. Akt tej reformy kończy okres *rozkładu niewoli chłopskiej* w Polsce, rozpoczynający się — słusznym zdaniem Śreniowskiego — około drugiej połowy VVIII wieku, przede wszystkim na skutek rozbiorów dawnej Rzeczypospolitej.

Dlatego w ocenie tamtych XVIII-to wiecznych wydarzeń na ich granicy—występuje całkowita już przeciwstawność poglądów i wniosków obydwu autorów, uzasadniona nie tylko różnicą metody pracy ale także różnicą stanowisk w obserwacji nowych dziejów chłopstwa polskiego.

Na momencie rozbiorów kończy się już owo namiętne oskarżenie szlachty przez Świętochowskiego a rozpoczyna się *apologia „białego dworku“*, która trwa *poprzez cały II tom jego „Historii“*.

c. d. n.

---

[1]) Dwa tomy, wyd. 1925—1928 r. Tom I wznowiony przez Państwowy Instytut Wydawniczy, z pominięciem kilku fragmentów o charakterze marginesowym, 1947 r.

[2]) Wyd. 1947 r.

BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO

DM I 7102

Jan Aleksander Król

NAZWIJMY RZECZY PO IMIENIU

Dla nauki intelektualistom wczorajszej i dzisiejszej „Młodej Myśli Ludowej"

„Bo w Mazurze taka dusza,
że choć umrze, to się rusza".

METODA

Artykuł Jana Duszy (w „Młodej Myśli Ludowej" Nr 10—październik br.) pt. **„Społeczno - gospodarcze stanowisko warstwy chłopskiej"** ukazał się równocześnie z rezolucjami Kongresu PSL lewicy.

Rezolucje głoszą całkowitą łączność z Obozem Reform, wyraża ją: 1) Sojusz chłopsko-robotniczy — fundament Polski Ludowej, 2) Sojusz ze Związkiem Radzieckim, warunek bytu Polski, 3) wspólny front przeciw kapitalistycznemu imperializmowi światowemu. 4) Przeciwstawienie się polityce Mikołajczyka, godzącej w interes Polski Ludowej.

Jan Dusza należy do PSL lewicy. Spodziewać by się zatem należało, że w jego artykule o społeczno - gospodarczym stanowisku warstwy chłopskiej skonkretyzuje się myśl polityczna rezolucji Kongresu PSL lewicy.

Jest tymczasem zgoła inaczej. — Umarł wprawdzie Dusza ten, który przed wojną nie chciał dopuścić komunistów do wspólnego frontu ludowego w walce z faszyzmem, ale nie zmieniła się smutna prawda, że dawny Dusza rusza się nadal po staremu.

Analiza, jaką Dusza przeprowadza w zakresie gospodarczo - społecznych stosunków na wsi, jest po 1) **ahistoryczna**, po 2) z uporem referuje bez zmian stanowisko, jakie zajęła po roku 1930 grupka młodych intelektualistów chłopskich z Miłkowskim na czele.

Dusza nie widzi ścisłego związku pomiędzy przedwojennymi koncepcjami społeczno-gospodarczymi „Młodej Myśli Ludowej" a jej ówczesnym stanowiskiem polityczno-społecznym. Politycznie wszedł dziś Dusza w oficjalny sojusz z komunistami, ale gospodarczo powtarza hist'orię Konia Trojańskiego. — W sojusz polityczny wnosi podarunek, który ten sojusz może tylko rozwalić!

Na czym polega **ahistoryzm** Duszy i jego przyjaciół z tej samej szkoły duchologii politycznej?

Stawia on takie zagadnienie: Czy chłop jest kapitalistą? I odpowiada sobie — nie jest, bo nie posługuje się pracą najemną, żyje nie z wyzysku, nie z renty grunt'owne czy majątkowej, a z pracy własnej i rodziny.

Gdyby nawet przyjąć jego zaprzeczenia, nie wyjaśnią one niczego, ponieważ samo zagadnienie jest źle postawione.

Dwa błędy: 1) za podstawę oceny przyjmuje Dusza fakt jednostkowy, pierwsze lepsze gospodarstwo chłopskie, jakie nasunęłoby się naszej obserwacji. Na tej podstawie mamy orzec — jego właściciel kapitalista, czy nie? Statystyki służą mu do ukazania idealnego modelu jednostkowej gospodarki chłopskiej.

2) Model jest określony statycznie. Nie podlegał ani on, ani warstwa chłopska, jako posiadacze parcel — żadnej historii. Funkcji społeczno - gospodarczej parceli nie wyprowadza się z ustroju. Ma parcela według Duszy — swój **absolutny byt**, poza historią, poza stosunkami i przemianami społecznymi.

Taka metodologia jest narzędziem **utopistów**, zarówno w wypadku, kiedy wyjaśniają współczesną rzeczywistość, jak kiedy projektują przyszłość. Ale utopiści również są produktem historii. I można zawsze wytłumaczyć, jakie to warunki społeczne doprowadziły ich do określonej u'topii

CO MÓWI HISTORIA

Zacznijmy od py'ania elementarnego. Czy historia Europy i kraju naszego w w. XIX i XX należy do historii rozwijającego się ustroju liberalno - kapitalistycznego? Należy. Czy z kolei — wieś na Zachodzie i u nas kształtował i uzależniał ten ustrój? Tak. Czy można wobec tego kłaść znak równości między rolą społeczno - gospodarczą gospodarstwa (nieraz przecież ponad 100 ha) chłopa z w. XVII a chłopa z w. XIX? Nie. Co określa znaczenie społeczne gospodarstwa chłopskiego, czy jego prywatna własność i praca rodziny, czy funkcja i tej prywatnej własności i pracy własnej, jaką nadaje im ustrój?

Myślę, że i na to pytanie Dusza jeszcze odpowie — ustrój! A teraz przejdźmy do historii. Kto wchodzi w sojusz z komunistami, ten winien uważniej czytać komunistów. — Ukazała się w 3 Nr „Nowych dróg" (maj b. r.) fundamentalna praca F. Fidlera „U źródeł niedorozwoju kapitalizmu w Polsce".

Fidler pokazuje, że kapitalizm na wieś polską wszedł **odgórnie**, wprowadzany przez ziemian, posiadaczy wielkich folwarków pańszczyźnianych.

Nie odbyła się u nas rewolucja burżuazyjna, w której uczestniczyliby również chłopi, jak to było we Francji, gdzie rewolucja 1789 roku „za jednym zamachem zmiotła wszystkie przywileje szlachty, wszystkie powinności, daniny, czynsze feudalne itd. (poddaństwo znikło we Francji już w XIV wieku").

Ta odgórna droga (przy ruinie naszych miast) wyznaczyła dzieje wsi chłopskiej w kapitalizmie, jako od początku **zachwiane i zagrożone** w jej utrzymaniu się na trwałej pozycji drobno - kapitalistycznego posiadania.

Wolność, jaką niosło zniesienie ustroju feudalnego, była wolnością, jak zawsze historyczną, a nie absolutną. Jej formułę, jej wyraźną definicję dała ta siła społeczna, która rewolucję ustrojową przeprowadziła po myśli swych interesów. To jest definicja burżuazyjna, mieszczańska, kapitalistyczna. Wypowiedział ją klasycznie członek Konstytuanty Francuskiej Cazales: **„Właściciel jedynie jest obywatelem"**.

Wolność od feudalizmu, nowa wolność dla chłopów nie mogła być zatem tylko wolnością od pańszczyzny. Wymagała dla swej pełni **„własności produkcyjnej"**. Być właścicielem to dopiero znaczyło być wolnym w nowym ustroju.

Oczywiście, gdyby nawet przyjąć, że wszyscy chłopi mieliby parcelę i możliwie największą i wówczas jednak nie wykroczyliby poza st'an klasy drobnych posiadaczy, drobnych właścicieli. W hierarchii nowego ustroju wyznaczano im zgóry szczebel najniższy. Ale szczebel w hierarchii tworzącej i podtrzymującej ustrój. Równocześnie powstająca klasa robotnicza zajmuje odrazu miejsce poza ustrojowo uprzywilejowanymi. To już nie „obywa'ele". Istnienie tych dwóch przeciwstawnych sobie kategorii społecznych określa nowy ustrój. Stopień wolności mierzyć będzie się stopniem oddal'enia i przeciwieństwa w stosunku do nieposiadających, do pracujących najemnie. Historia kapitalizmu pokazała, że były to dzieje kurczącej się bazy społecznej dla „wolności" rozumianej w jej języku. Dzieje powiększania się ludności sproletaryzowanej i gwałtownego zmniejszania liczby „właścicieli", przy rosnącym w ich posiadaniu kapitału własności.

Dążenie chłopów do **wolności"** był to punkt styczny, łączący sfery postępowego ziemiaństwa i mieszczaństwa do zmiany pańszczyźnianego folwarku i rzemiosła na produkcję kapi'alistyczną" (Rutkowski: Zagadnienie reformy rolnej w Polsce XVIII w, Poznań 1925 r., str. 94).

Ale dlatego był to zarazem punkt, w którym najostrzej wyrazić się musiał konflikt klasowy pomiędzy dawnymi feudałami i pańszczyźnianymi w ich wspólnym przechodzeniu do nowego ustroju. Do objęcia jako własność, stała tu w pierwszym rzędzie ziemia. We Francji wzięli ją w lwiej części chłopi, u nas w kraju — ziemianie. Tam wolna, „umowna" siła najemna poszła do wielkich gospodarek chłopskich, pozwalając w przyszłości stworzyć chłopom - posiadaczom rentiersko dzierżawny system użytkowania gospodarstw. U nas najemna siła robocza była potrzebna folwarkom.

Napoleońska Ustawa Konstytucji Ks. Warszawskiego — jak wykazuje Fidler — zastała inną, niż we Francji sytuację społeczno-gospodarczą na wsi: Ustawa nadała wciąż istniejącym u nas stosunkom pańszczyźnianym charakter prywatno-prawny. Skoro przedtem nie ustaliło się nadanie prawa własności chłopom, właścicielem teraz w brzmieniu ustawy jest ziemianin. „Znosi się niewola. Wszyscy obywatele są równi przed obliczem prawa". Ma to prawo już w r. 1810 w Ks. Warszawskim dla 62% chłopów wartość iluzoryczną. Szlachta dokonała rugów z ziemi w takiej ilości, lub obciążyła chłopów takimi prywatno-prawnymi umowami, że 62% — to kategoria bezrolnych (komornicy, służba stała i niestała i dobrowolnie oddający ziemie, „luźni" teraz ludzie).

Oto jak się zaczynał nowy ustrój. Chyba dość jasno widać położenie chłopskiej wsi w jej punkcie wyjścia na nowy okres. Od razu powszechnie odczuła grozę sytuacji. Nowy ustrój zaczynał się nie przez nią ! nie w jej interesie. Z góry przekreślał jej klasowe wydźwignięcie, z góry przeprowadzał przez wieś linię graniczną, oddzielającą część wciąż malejącą i znikomą od części zatrważająco rosnącej liczebnie. Dla pierwszej istniała możliwość „uratowania się" za cenę kapitalistycznego osiągania tytułu co najmniej drobnego właściciela, dla drugiej zapowiadała nieuchronny sens przyszłości — sproletaryzowanie w formach jawnych i ukrytych.

Po uwłaszczeniu w Galicji Ks. Kalinka pisze w r. 1852 z satysfakcją, że tylko 1/6 chłopów dostała ziemię. Zniesienie pańszczyzny w Kongresówce (r. 1864) pozostawiło jedną trzecią chłopów bezrolnych.

Ochrony celne rolnictwa francuskiego, pruskiego i angielskiego (w latach 1815—20) odcinają wywóz zboża ziemiańskiego za granicę. Lubecki stawia przemysł dla wytworzenia wewnętrznego rynku dla ziemiopłodów. Ale nie ma to być **rynek chłopski** dla rzemiosł i manufaktur przemysłu. Bo żeby taki istniał należałoby chłopom **dać ziemię, rozbić folwarki.** Przemysł nastawia na Rosję carską, jego załogę wypełnia technikami i majstrami niemieckimi (do r. 1824 sprowadził ich już 150.000).

Równocześnie inwestycje w organizację przemysłu mobilizuje z podatków chłopskich, ściąganych za całe 40 lat wstecz.

Oto druga perspektywa: ograniczony rynek zbytu dla chłopskiej wsi i ograniczony rynek pracy technicznej w przemyśle. We wsi nie rozwija się tradycja wyższego związku sprawczego z przemysłem. Nie ma kanałów, 'po których sztuka majstrów i techników mogłaby chłopów przyciągać. Sztuka ta zamyka się w rodzinnych przekazach obcokrajowców.

MIT PARCELI

W takich warunkach musiał na wsi polskiej rosnąć **mit parceli.** Właśnie **mit parceli!** Cały bowiem wiek XIX i XX, aż do drugiej wojny światowej to jest epoka niespełnionej rewolucji burżuazyjnej, niespełnionego wyżycia się wsi w posiadaniu drobno-kapitalistycznym **wszystkiej ziemi narodowej.**

Kiedy klasa robotnicza dojrzewa już w latach 80-tych (jak w Kongresówce) do walki z ustrojem kapitalistycznym, wieś dojrzewa do walki o pozycję drobnego rolnika, „włościanina". Nie o wyjście z ustroju kapitalistycznego jej idzie, ale o utwierdzenie się w nim na takim szczeblu „własności", który daje złudzenie wolności i niezależności politycznej, tzn. nie pozwala odczuć ustroju, jako organizacji niszczącej chłopa. Zaczyna się okres wielkich dobrowolnych parcelacji folwarków, otwiera się Ameryka. Powiększa się zapas ziemi, znajdują się środki do jej nabycia. To jest pożywka dla **mitu parceli,** ale nie droga dla jego urzeczywistnienia. Miliony emigrantów płacą kilkunastoletnim dobrowolnym sproletaryzowaniem dla przywrócenia rodzinie pozycji „właściciela", pozycji krótkotrwałej, bo już następny rodzinny podział gospodarstwa zagraża tym samym losem: bezrolnego. 86% dwu hektarowców w Galicji z końcem w. XIX wegetuje w oparciu o zarobki z najmów robotniczych. Równocześnie robotnicy folwarczni wykazują stałą dążność do zakładania bodaj własnych gospodarstw.

W tym ślepym zaułku magii parceli wyróżnić się dadzą z czasem dwie drogi: ugodowa — bogatych chłopów i rewolucyjna — biednych..... Jeszcze za ks. Stojałowskiego, Stapińskiego i Witosa folwarki to nietykalna własność, jeszcze kiedy socjaliści (od r. 1918) wysuną Reformę Rolną, „Piast" będzie za parcelacją z wykupu. Politycznie — od zgody ze szlachtą polską poprzez Narodową Demokrację i plebanię do sojuszu z drobnomieszczaństwem. Jest to linia ugody posiadających, „właścicieli" chłopskich z posiadającymi — ziemianami, klerem i drobnomieszczaństwem. Tu nie trzeba było rewolucji burżuazyjnej, wciągnęłaby ona bowiem w podział zysków **klasę chłopską,** a obliczono je dla gotowej już, wykształtowanej drobno - kapitalistycznej arystokracji wsi. Tę drogę odczuły masy chłopskie po r. 1924 jako zdradę wsi. W nich od roku 1918 dojrzewa po linii mitu parceli gotowość do rewolucji burżuazyjnej. Obalenie sanacyjnego samowładztwa, ocenionego jako rządy ziemiańskie, oraz zniesienie obszarniczej własności, ale nie zniesienie burżuazyjnej w/g dziewiętnastowiecznych wzorów, demokracji. Tu kanonem pozostawały — liberalny parlamentaryzm i oparcie o „zachodnie demokracje". Na tej rewolucyjnej drodze mit parceli wydawał się wreszcie możliwy do osiągnięcia przez całą warstwę chłopską. A przynajmniej równać się powszechnemu zdobyciu **podstaw do dalszego dorobku drobno - kapitalistycznego,** jakie dała rewolucja z końca XVIII wieku chłopstwu francuskiemu.

COFANIE SIĘ W PRZESZŁOŚĆ

Uderzające, jak właśnie do tego punktu historii warstwy chłopskiej, półtora wieku temu przekroczonego na Zachodzie, wraca od r. 1930 społeczna myśl młodych intelektualistów i działaczy ludowych.

Dla Miłkowskiego naczelnym zagadnieniem jest — **szlachetczyzna.** Ją się zmiata, a nie kapitalizm folwarczny, nie mandat kapitalizmu zachodniego nad Polską — jego półkolonią. Miasta? 1/4 ludności — bez większego znaczenia. Klasa robotnicza? „W warunkach polskich 70 proc. chłopów ma wskoczyć w 10 proc. robotników i poddać się posłusznie pod ich kierownictwo! Takie oto bzdury idiotyzmy i kretynizmy rodzą się w głowach kawiarnianych literatów, którzy o ironio, tworzą chłopską literaturę!" Ten horyzont, gdyby zapomnieć, że Miłkowski pieni się w r. 1934, przypominałby Francję porewolucyjną. Wzmożona pewność siebie u chłopów nie tylko z tytułu zawładnięcia ziemią w roli „właścicieli" w kapitalistycznym znaczeniu, ale również na widok nie budzących jeszcze zazdrości miast, których rozrostu nie przewidywali, na godny politowania widok robotników, ostrzegający przed degradacją społeczną „skoku w proletariat".

Ten sam problem: **panowie-chłopi** wyczytał przed wojną prof. Chałasiński z pamiętników młodego pokolenia wiejskiego. Nie pokazał jednak w komentarzu, że tak widziana przez młodzież sytuacja wsi wyrażała ówczesny stan świadomości społecznej młodzieży, ale nie stan faktyczny. Dlatego go Dusza dziś cytuje. „Społeczno Kulturalna istota warstwy chłopskiej polega bowiem na powiązaniu ziemi, wytwórczej pracy fizycznej i aktywności duchowej" (Chałasiński M. P. Ch.) Ta definicja jest formalna i idealistyczna, nie osadza wsi w historii i ustroju. Podobne właśnie komponowali Niećko, Solarz, Miłkowski. Stali oni bowiem na czele tego ruchu, który prowadził w skutkach do chłopskiej rewolucji burżuazyjnej. Aby ją powtórzyć w sto pięćdziesiąt lat po francuskiej trzebaby było konsekwentnie zniażdżyć narosłą przez ten czas historię nowych stosunków społeczno - ekonomicznych i to nie tylko w kraju. Krótko mówiąc, zawrócić światowy kapitalizm z fazy finansowej i imperialnej w jego wczesną fazę liberalną. Zamachowcy tego typu musieli oczywiście być jako teoretycy — **utopistami.** Był to utopizm regresu historycznego.

UTOPIA LIBERALIZMU

Bardzo charakterystyczny jest jego arsenał argumentacji. Sięga do inteligenckiej i mieszczańskiej myśli liberalnej, jaka zatoczywszy łuk u końca wieku XIX wraca anarchistycznie do jej początków z końca wieku XVIII. Dla przykładu: Rousseau i Tołstoj.

Rousseau głosił „powrót do natury". We współczesnych mu stosunkach feudalnych widział doprowadzony do ostateczności proces znieprawienia jakiegoś wcześniejszego historycznie—pierwotnego, jak zakładał, idealnego układu społecznego. Ujmował go w obraz gospodarki naturalnej kiedy człowiek sam sobie robił wszystko, czego potrzebował i był dlatego **niezależny i równy innym.** Stąd argument o „przyrodzonej wolności człowieka". Posłużył on burżuazji jako hasło do rewolucji.

Nowa wolność zgodnie z alegorycznym obrazem Rousseau widziała w rozluźnieniu społecznych stosunków między ludzkich, w „wolności człowieka odizolowanego i zamkniętego w sobie", sam sobie miał teraz wystarczyć człowiek (wypełniając ideał wolności) w oparciu o własność, dającą zysk. Ale od kapitalistycznej własności wcale nie wiodła droga do **rzeczywistego** „powrotu do natury".

Kiedy Tołstoj pod koniec w. XIX ocenia nową niewolę społeczną kapitalizmu, widzi ją w samym fakcie narośnięcia nowych czy utrzymaniu starych zależności społecznych, jakieby one nie były. Kapitalizm dlatego został przez niego uderzony za samą hist'orię swego rozwoju. Industrializm i wielka własność fabryczna czy ziemska to są instytucje organizacji społecznej, w których przestaje istnieć „wol-

Nowa chłopska organizacja T.U.L. R.P.

Dla przyśpieszenia kulturalnego rozwoju wsi i wzmocnienia radykalnego ruchu ludowego wciągającego masy chłopskie do aktywnego udziału w budowie Polski Demokratycznej postanowiono skoordynować i połączyć wszystkie wiejskie instytucje i organizacje kulturalno - oświatowe w jedno chłopskie towarzystwo oświatowe pod nazwą: **Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych R. P.**

T. U. L. R. P. obejmuje następujące działy pracy:

a) naukowo - badawczy i poradniczy,

b) uniwersytetów ludowych, powszechnych i szkół pracy społecznej,

c) bibliotek, czytelń, świetlic i domów ludowych,

d) teatrów i muzyki ludowej,

e) techniki kulturalno - oświatowej (kina, radio, pomoce naukowe itd.),

f) wydawniczo - księgarski,

g) budowy szkół i wiejskich ośrodków kultury,

h) finansowo - gospodarczy.

Została przyjęta następująca struktura organizacyjna T. U. L. Centralna Rada Społeczna i Zarząd Główny w Warszawie oraz terenowe oddziały.

TUL RP jednocząc wszystkie wiejskie instytucje i organizacje kulturalno - oświatowe, oprze swą działalność o Związek Samopomocy Chłopskiej, Organizację Młodzieży Wiejskiej „Wici", Wydział Pracy Społecznej Z. N. P., oraz zespoły działaczy społeczno - oświatowych i politycznych Stronnictwa Ludowego i P. S. L. Lewicy.

Jest to dopiosły akt historyczny, na który wieś nasza od dawna czekała. Zostało zlikwidowane rozbicie wsi na odcinku oświaty i wychowania. Wytyczony zostanie jednolity kierunek ideowo - społeczny i programowy całej wiejskiej oświacie — zgodnie z zasadami radykalnego ruchu ludowego współdziałającego z ruchem robotniczym.

Na międzyorganizacyjnym zebraniu wybrano następujące tymczasowe władze:

Centralna Rada Społeczna: ob. ob. Kowalski Władysław, Korczycki Antoni, Baranowski Wincenty, Dybowski Stefan, Niećko Józef, Wycech Czesław, Maj Kazimierz, Ignar Stefan, Solarzowa Zofia, Kurpiewski Karol, Kobyliński Zygmunt, Schayer Wacław, Król Jan Aleksander, Marzec Edward, Wąsik Wincenty, Pokora Wojciech, Wysocki Mieczysław, Kubicki Marian, Garncarczykowa Stanisława, Fuszara Stanisław, Zadrożny Mieczysław, Biłgorajski Bartłomiej, Rusin Franciszek, Tarasiuk Benedykt.

Zarząd Główny: ob. ob. Garncarczyk Wilhelm, Popławski Feliks, Garstecki Zygmunt, Bednarz Jan, Banach Kazimierz, Dec Jan, Dębski Jan, Kurkiewicz Władysław, Laskowska Halina.

Wyżej wymieniony Zarząd jest upoważniony do reprezentowania chłopskiego ruchu oświatowego w kraju i zagranicą, rozpoczęcia mobilizacji wiejskich oświatowców, nawiązania współpracy z T. U. R. i zwołania Krajowego Zjazdu Delegatów Oświatowych T.U.L. który, wybierze zarząd stały i zatwierdzi statut.

ność człowieka odizolowanego i zamkniętego w sobie". To była krytyka dojrzałego kapitalizmu przez porównanie go z rousseowską utopią ustroju liberalnego. Tołstoj dlatego nie odrzuca kapitalizm a zawraca go do punktu wyjścia. Widział nędzę chłopów. Głosi zniesienie własności ziemskiej, sam rozdaje ziemię. Ale czyni to nie w imię ustanowienia nowego **ustroju** społecznego, ale w imię niedopuszczenia do powstania jakiegokolwiek. Człowieka obowiązuje tylko świat moralności! To co w „powrocie do natury" Rousseau było dla burżuazji tylko alegorią dla Tołstoja przez porównanie skomplikowanych technicznie i organizacyjnie fabryk i folwarków z dzikim, patriarchalnym jeszcze trybem życia chłopskiego staje się **rzeczywistością** do wypełnienia i utrwalenia. Jest możliwy „powrót do natury". Oto w 1904 roku chłop przystaje do burżuazyjnej rewolucji. Znaczy to — zdobędzie ziemię, będzie na niej robił „ w poczuciu niezależności osobis ej", czy wobec przemocy kapitału, czy władzy politycznej". (tak mówił w 30 lat później u nas J. Solarz).

Tołstoj zaklina kapitalistyczną rzeczywistość aby wróciła w swoje dzieciństwo. Było to niemożliwe. Niepodobna uderzyć w folwark w tym okresie nie uderzając w fabrykę. Bo tych obu form własności bronił ten sam ustrój kapitalistyczny a przeciw niemu trzeba było już rewolucji nie burżuazyjnej.

SZKODLIWY UTOPIZM KRAJOWEGO CHOWU

Kiedy Dusza przypomina Solarza, Miłkowskiego czy Lutyka dowodzenie o „istocie" gospodarstwa chłopskiego, jako z „ducha" nie kapitalistycznego, trzeba je odnieść nie do rzeczywistości historycznej a do utopii demokracji liberalnej, w stylu — od Rousseau do Tołstoja. Z treści tej właśnie utopii zapożyczali oni wiedzę i wiarę co do specyficznego charakteru warstwy chłopskiej — „samodzielnych wytwórców".

„Rodzina chłopska — jak mówił Solarz — patrzy na ludzi nie jako na źródło i przedmiot wyzysku", ponieważ „chłopskie gospodarstwo pracuje przeważnie nie na zbyt i zysk, ale na własne zaopatrzenie rodziny w żywność". Ten opis nie mówił o współczesnym Solarzowi stanie wsi polskiej. Polegał on wszakże na czym innym, na osiąganiu przez znikomą część chłopów pomyślnej pozycji drobno - kapitalistycznego posiadacza i tracenia jej przez masy chłopskie. O tym mówiły 11% gospodarstw powyżej 20 ha i 8 milionów bezrolnych i bezrobotnych chłopów. Opis Solarza odtwarzał utopię Rousseau. I o to mu szło. — Jak w Rousseau modelu idealnym chłop jest tu fundamentem ustroju wolności, bo sam sobie wystarcza na parceli, odizolowanie społeczne daje mu niezależność i nie odbiera innym niezależności, na tym polega równość. W rzeczywistości ten ustrój izolacji był właśnie fundamentem tracenia przez masy chłopskie osobistej - politycznej, społecznej i gospodarczej niezależności. W latach międzywojennych 72% nowych gospodarstw to rezultat działów rodzinnych, obraz spadania do przeciętnej około 3 ha. Słynne spłaty, które zagarniają dziedziczącemu 50% dochodu społecznego z gospodarstwa albo rozpływają się bezprodukcyjnie u biedniejszych jako zbyt małe aby odkupić gdzieś jaką taką gospodarkę, albo u bogatszych stanowią przynęcający kapitał do wyzucia z ziemi innej krachującej rodziny.

Tak typowe przed wojną dla kręgu młodych intelektualistów ludowych potępianie cywilizacji przemysłowej, w czymże miało źródło? Co oznaczało proroctwo Niecki; „tempo życia: — wynalazki i wszelkie cuda techniki to już tylko przedśmiertne intensywne wyżywanie się — właściwe wszelkim chorym organizmom?" Co wyrażało powtarzane za Bujakiem przekonanie, że „urbanizacja oznacza zgrzybiałość społeczeństwa?" Były to reakcje na ucisk kapitalizmu w jego fazie koncentracji przemysłowej i finansowej, ale reakcje zmylone. Pragnęły one zawrócić ustrój kapitalistyczny do początkowej, sielskiej drobnej gospodarki liberalnej. Oczywista utopia i dlatego odwoływała się do klasycznej utopii liberalizmu, a nie do rzeczywistości. Fabryki w ustroju kapitalistycznym są wrogiem ludu, w ustroju znoszącym kapitalizm błogosławieństwem, zapewniającym masom ludowym pracę, dobrobyt i dostęp do kultury.

Powrót „do natury" Rousseau odnawia się w utopii Niecki czy Solarza już wcale nie jako alegoria. Inteligencja z końcem w. XIX degradowana przez kapitalizm tworzy jako kompensację mit prymatu przyrody. Ważniejsze jest życie w prostych związkach z naturą: cechuje je rzekomo spokój, stabilność, zdrowie moralne i fizyczne. Twarzy się teorię biologicznej, rasowo - etnicznej odrębności chłopskiej. Teorię duszy chłopskiej, odwiecznej i niezmiennej, w historycznej, mijającej kulturze ludowej dopatruje się tych cech wiecznotrwałych, biologicznych i psychicznych. Zakłada się jej autonomiczny, nie zależny od otaczających stosunków społeczno-produkcyjnych, rozwój i upowszechnienie się w narodzie; mało, ponieważ są to cechy słowiańsko - rolniczej rasy i kultury, przewiduje się jej zwycięstwo nad zgniłym, industrialnym Zachodem. Już świta, już grają pobudki!...

Wszystkie te mity — podpórki są produktem przegrania inteligencji w walce z kapitalistycznym ustrojem, produktem jej zdezorientowania i uciekania się w panice do oszałamiających narkotyków — wierzeń. Dla kapitalistów krajowych i ośrodków zagranicznych od jakich uzależnione było kształtowanie się naszego życia gospodarczo - politycznego te mity podpórki acz wzmagały ambicję klasową, szczególnie wśród młodej inteligencji ludowej — nie stanowiły teorii dla nich zasadniczo wrogiej. Przeciwnie, podtrzymywały stanową bezradność warstwy chłopskiej. Młodzi intelektualiści chłopscy brnęli poprzez te mity w utopię liberalizmu: „przyrodzone prawa człowieka", przyrodzone prawa duszy chłopskiej i jej wolnego życia.

Szczegółowsza analiza i opis tych wszystkich przyrodzoności ukazuje zawsze wyraźny obraz wsi w kapitalizmie cierpiącym na niedorozwój, a więc wsi z najżywszym kompleksem dworu i szlachetczyzny, zapóźnionej w technice produkcji rolniczej, w oświacie powszechnej, duszącej się od nadmiaru ludności, a przy ubóstwie przemysłu i miast bez szans na prace poza rolnicze, odcięte dlatego, miast zamknięte w sobie. Dla ideologów w rodzaju Niecki, Miłkowskiego czy Solarza stało dlatego wciąż jeszcze zagadnienie z końca w. XVIII: rewolucja burżuazyjna — cała ziemia Polski dla klasy chłopskiej w indywidualne władanie. Upowszechnić w kraju dziewiętnasto-wieczny punkt wyjścia zachodnio - europejskiej wsi. Takie zawracanie wstecz historii było utopią i tworzyło utopijny program agraryzmu; — „czerpie on swe prawa i zasady z ziem, ze współżycia człowieka z przyrodą i produkcją drobnorolną".

Ten mistyczny wierzch nie chciał się dlatego nigdy przyznać do drobno - kapitalistycznej podszewki. Nie chciał, bo pragnął uchodzić za wyraz ruchu postępowego, ba rewolucyjnego. Mimo jednak głośno otrąbionej walki z kapitalizmem naprawdę w starciu był z klasą robotniczą, skoro kapitalizm przezwyciężyć chciał nie inaczej, jak przez upowszechnienie w klasie chłopskiej warunków wczesno - liberalnej („zdrowej") drobno - rolnej produkcji oraz przez utrwalenie i narzucenie form produkcji całemu krajowi z tej fazy kapitalizmu. „Ideologia agraryzmu musi być ideologią całej Polski". Ale dlatego była utopią. Kapitalizmu nie można cofnąć z fazy już przez niego osiągniętej, można tylko znieść jego ustrój nie naruszając osiągniętego przez niego poziomu wyposażenia i koncentracji przemysłowej, ale tego się nie podejmował agraryzm, nie stanowił dlatego przeciwieństwa dla kapitalizmu, przeciwieństwo ustrojowe zapowiadała walka klasy robotniczej. I w rzeczywistej walce tych dwu sił wstawianie agraryzmu jako trzeciej siły było złudzeniem. Ta trzecia reprezentowała taki proces społeczno - gospodarczy, którego nazwać inaczej nie można, jak dziejami drobno - kapitalistycznego posiadania chłopskiego. Mimo to, że dzieje te jak wskazywaliśmy były od zarania tragiczne: rosnąca proletaryzacja i pauperyzacja mas chłopskich.

Ale taka jest treść drobno - kapitalistycznych dziejów wsi, należą one zawsze do historii kapitalizmu. Czas skończyć z przekonaniem, że agraryzm co innego oznaczał. Pierwowzór dla Miłkowskiego, czeską partię agrarną tak charakteryzuje Rościsław Korczak (przekład w „Wiciowej Wolnej Gromadzie") były redaktor centralnych jej organów:

„Jej demokratyczność i postępowość mieściła się w ramach mieszczańsko - liberalistycznych zasad i była ograniczona ramami systemu prywatno - kapitalistycznego, który miał w partii agrarnej, zorganizowanej na zasadzie interesów stanowych, zawsze zdecydowanego obrońcę".

Jan Aleksander Król

Wilhelm Garnczarczyk

DROGI REFORMY OŚWIATY

Stoi przed nami olbrzymie zadanie — przebudowy całego systemu oświatowego i kulturalnego w Polsce. Na całość przebudowy szkoły czyli na tzw. reformę szkolnictwa składają się następujące zagadnienia:

a) organizacja szkoły dotychczasowej,
b) przebudowa ustroju szkolnego,
c) zmiana programów nauczania,
d) zmiana podręczników i lektury uzupełniającej,
e) zaopatrzenie bibliotek nauczycielskich i uczniowskich w odpowiednie książki,
f) skrystalizowanie nowego ideału wychowawczego,
g) oczyszczenie atmosfery ideowej w szkołach z reakcyjnych i faszystowskich naleciałości.

Przyjrzyjmy się teraz danym statystycznym. Przed rokiem 1939 mieliśmy oficjalnie ponad 600 tysięcy dzieci w wieku szkolnym poza szkołą. W rzeczywistości zaś liczba ta dosięgała miliona. W tym czasie ponad połowę szkół powszechnych stanowiły szkoły jednoklasowe o jednym nauczycielu. Zamiast jednolitej 7-letniej i 7-klasowej szkoły powszechnej, mieliśmy szkołę rozbitą na tzw. szczeble organizacyjne i trzy stopnie programowe. Pełnych szkół 7-klasowych mieliśmy zaledwie około 11%. Mały rocznik statystyczny z 1938 roku podaje procent wykonania powszechności nauczania na 88,9%. Obecnie powszechność nauczania dla dzieci od 7 do 11 lat osiągnęliśmy w 90%. Uruchomiliśmy około 22 tysięcy szkół powszechnych z 72 tysiącami nauczycieli i 3.345.000 młodzieży. Liczba przedszkoli wzrosła od maja 1945 roku o 465%.

7-letnią publiczną szkołę powszechną przekształcamy obecnie w 8-letnią szkołę podstawową, obejmującą spory zakres wiedzy z programu dotychczasowego gimnazjum. Mieliśmy w 1947/48 roku szkolnym już kilkaset szkół 8-klasowych, a w r. 1947/48 roku szkolnym liczba ich podwoi się prawdopodobnie. Przez wprowadzenie 8-letniej obowiązkowej szkoły podstawowej podnosimy poziom oświatowo-kulturalny całego naszego społeczeństwa. Obowiązek szkolny przedłuża się do 15 lat. Na powszechność nauczania od lat 7 do 18 nie stać nas jeszcze. Musielibyśmy mieć 3 razy więcej nauczycieli i dobudować 70 tysięcy izb szkolnych, nie mówiąc już o przedszkolach. To olbrzymie zadanie przerasta obecnie nasze siły.

Wojna i okupacja straszliwie przerzedziły szeregi nauczycielskie. Od roku 1945 wprowadziliśmy do naszych szkół około 20 tysięcy młodych niewykwalifikowanych sił, które pracują z zapałem, dobre osiągając wyniki i jak najlepsze rokując nadzieje. Staje przed nami paląca konieczność nie tylko kształcenia niewykwalifikowanych, lecz i dokształcania czynnych nauczycieli, dostosowania ich do wymogów nowej szkoły.

Nowa szkoła wymaga nowych programów. Nad zmianą programów nauczania pracuje w Ministerstwie Oświaty departament VI. W ujęciu tego departamentu zagadnienie to przedstawia się następująco:

Wytyczne zmian założone u podstaw reformy programów sprowadzają się w wielkim skrócie do następujących sformułowań:

a) zaakceptowanie celów poznawczych nauczania przez oparcie materiału programowego na rzetelnej wiedzy.

b) dążenie do założenia podwalin świadomego myślenia i samodzielnej oceny;

c) ukształtowanie elementów naukowego poglądu na świat,

d) wyzwolenie dyscyplin humanistycznych od służb doraźnych i przywrócenie im autonomii metodycznej i naukowej,

e) szersze i bardziej systematyczne uwzględnienie nauk matematyczno-przyrodniczych,

f) przywrócenie elementów estetycznego kształcenia celem pełniejszego rozwoju osobowości,

g) oparcie programów o nieprzemijające dobra kulturalne, stwarzane przez ludzkość w walce o postęp i demokrację,

h) nawiązanie do tradycji polskiej demokracji szlacheckiej i mieszczańskiego postępu,

i) uwzględnienie wkładu do kultury polskiej warstwy chłopskiej i warstwy robotniczej,

j) przystosowanie treści programowych do potrzeb odbudowy i demokratycznej przebudowy naszego życia.

Wydane już zostały w rb. projekty nowych programów, które „przekazują młodzieży podstawowe idee demokracji ludowej — patriotyzm, gorące ukochanie ziemi, kultury i człowieka pracy w Polsce, zrozumienie i oddanie sprawie demokratycznej przebudowy naszego bytu narodowego; kult pracy, poszanowanie godności ludzkiej, na nowych zasadach współdziałania i pomocy oparty stosunek człowieka do człowieka".

Nowe programy nauczania w szkole podstawowej pragną dać młodzieży nie fragmenty wiedzy, lecz pewien zamknięty system wiedzy ścisłej, opartej na elementach socjologicznych, ekonomicznych, nauki o państwie i o polityce państwowej. Wprowadzając do wszystkich szkół naukę o Polsce i świecie współczesnym, oraz wprowadzając ponad to do szkół podstawowych zasadnicze elementy wiedzy ekonomicznej i socjologicznej, pragniemy zlikwidować powszechny u nas analfabetyzm ekonomiczny.

Nowy przydział wiedzy w szkole podstawowej pragnie tę szkołę przekształcić ze szkoły propedentycznej, elementarnej, w szkołę średnią na poziomie gimnazjalnym.

Do nowego ideału wychowawczego i do nowych programów nauczania dostosowane być muszą podręczniki dla ucznia i książki pomocnicze dla nauczyciela oraz lektura uzupełniająca. Okupant zniszczył olbrzymie ilości książek szkolnych. Nowe wydania tych książek wymagają bardzo skrupulatnego przepracowania treści i dostosowania jej do nowego ducha szkoły. Ministerstwo Oświaty musi się więc obecnie prowadzić olbrzymią i bardzo żmudną pracę nad reaprobatą podręczników szkolnych.

W 1947/48 r. szkolnym zaspokojony zostanie całkowicie głód podręcznikowy w szkole podstawowej i prawdopodobnie całkowicie — w szkole średniej. Do października rb. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych (PZWS) wypuszczą do szkół 20-ty milion podręczników. Rząd przyznał na ten cel potrzebną ilość papieru, ograniczając w tym celu jego konsumcję na inne potrzeby. W celu uniknięcia spekulacji Ministerstwo Oświaty wprowadzi częściowo — zamkniętą sprzedaż podręczników poprzez szkoły.

Największym przekształceniom ulega szkoła średnia, mająca do roku 1939 wybitnie elitarny charakter. I dzisiaj jeszcze kierunek ideowy wielu naszych szkół średnich daleki jest od naszej rzeczywistości. W 1947/48 r. będziemy chcieli przeprowadzić na tym odcinku duże zmiany na lepsze.

I na odcinku szkolnictwa średniego mamy poważne osiągnięcia. W r. 1937/38 na 35 milionów ludności mieliśmy 767 szkół średnich z 221.000 młodzieży, a obecnie na 24 i pół miliona ludności mamy 789 szkół średnich z 225.205 młodzieży.

Pragnąc ułatwić młodzieży wiejskiej dostęp do szkół średnich Ministerstwo Oświaty uruchomiło w różnych miejscowościach Polski szkoły średnie na wsi, czyli tzw. gimnazja wiejskie. W 1946/47 roku mamy takich gimnazjów 86. Powstały one w ogromnej większości wypadków z tajnych kompletów gimnazjalnych z okresu konspiracji, wskutek czego ich rozlokowanie w terenie jest na ogół nieracjonalne. Niektóre z tych gimnazjów, zbyt blisko od innych szkół średnich położone, nie mają dostatecznej ilości młodzieży i nie mają widoków szybkiego rozwoju. Gimnazja takie muszą być skomasowane lub przekształcone na szkoły zawodowe lub 8-letnie szkoły podstawowe. Ministerstwo Oświaty stoi na stanowisku utrzymania i rozbudowy szkół średnich na wsi, o ile na danym terenie są ku temu odpowiednie warunki.

Jesteśmy gorącymi zwolennikami rozbudowy szkolnictwa zawodowego, tak bardzo u nas przed wojną zaniedbanego. Szkolnictwo zawodowe w nowej Polsce nie tylko, że przestaje być kopciuszkiem, lecz szybko i energicznie wysuwa się na czołowe miejsce w nowym ustroju szkolnym. Przed wojną mieliśmy w Polsce 717 kursów i szkół zawodowych z 90 tysiącami młodzieży, obecnie mamy tych szkół i kursów 3.315 z 306.000 młodzieży.

Pragnąc umożliwić młodzieży chłopskiej i robotniczej wstęp do szkół wyższych, Ministerstwo Oświaty uruchomiło szereg kursów przygotowawczych do wstępnych lat studiów i kursy wstępne do tych studiów. Kursy te wprowadzają do szkół wyższych coraz liczniej młodzież chłopską i robotniczą. Przed wojną w 1937/38 roku mieliśmy 27 szkół wyższych z 3.409 wykładowcami i 48.200 studentami, a w 1946/47 r. mamy 36 szkół wyższych z 6.237 wykładowcami i 77.584 studentami. Obecnie dostęp do szkół wyższych mają absolwenci szkół średnich zarówno ogólnokształcących jak i zawodowych.

Całokształt naszych dotychczasowych osiągnięć w dziedzinie szkolnictwa przedstawia następująca tablica porównawcza:

Na 1000 ludności przypada uczniów (słuchaczy):

	rok 1939	rok 1947
a) w przedszkolach	2,1	9.6
b) w szkołach powszechnych	142	139
c) w szkołach średnich, ogólnokształcących	6,7	9,3
d) w szkołach zawodowych	6,8	12,7
e) w szkołach wyższych	1,4	3.2

Nasze dotychczasowe osiągnięcia w dziedzinie szkolnictwa są więc bardzo poważne. Nie zadowala nas jednak obecny skład społeczny uczniów szkół średnich i wyższych. Odsetek młodzieży chłopskiej i robotniczej w tych szkołach dość szybko wprawdzie rośnie, lecz jest jeszcze o wiele za mały. Ministerstwo Oświaty zmierza i na tym odcinku do radykalnej zmiany na lepsze.

Ogromne zaniedbania mamy do odrobienia na odcinku oświaty i kultury dorosłych, szczególnie na wsi. Polska ludowa już obecnie potrzebuje uświadomionych obywateli, a nowa zreformowana szkoła da nam ich dopiero w przyszłości. Oświatą i kulturą dorosłych winny się zająć chłopskie i robotnicze organizacje oświatowe, a więc Chłopskie Towarzystwo Oświaty i Kultury, względnie zreformowany TUL i robotniczy TUR. Na oświatę i kulturę dorosłych Ministerstwo Oświaty wydaje bardzo poważne w stosunku do swego budżetu kwoty. Pod koniec 1945/46 roku praca Ministerstwa Oświaty na odcinku oświaty i kultury dorosłych przedstawiała się następująco (zestawienie porównawcze):

		1945/46 rok	1938 rok
1. a)	Ilość klas na kursach dla dorosłych	8.880	6.184
b)	„ uczniów w tych klasach	225.733	131.562
2. a)	„ klas w szkołach powsz. dla dorosłych	765	426
b)	„ uczniów w tych klasach	21.331	14.646
3. a)	„ klas w szkołach średnich dla dorosłych	901	—
b)	„ uczniów w tych klasach	26.867	—
4. a)	„ uniwersytetów ludowych	44	22
b)	„ młodzieży w tych uniwersytetach	1.610	863

Poza tym stan liczbowy pozostałych placówek na odcinku oświaty i kultury dorosłych będących w ewidencji i pod opieką Ministerstwa Oświaty, przedstawiał się w r. szkolnym 1945/46 następująco:

a) domów społecznych	1583
b) świetlic	5135
c) zespołów teatralnych	3007
d) „ chóralnych	2457
e) „ instrumentalnych	761
f) „ rzemiosł artystycznych	90

Jan Aleksander Zaremba

Prawa autorskie zastrzeżone

ZAPASKI ŚWIĘTOKRZYSKIE

SWOJE I NIE SWOJE

Na wystawie sztuki ludowej w Muzeum Świętokrzyskim w Kielcach całą niemal ścianę zajmują tablice akwarelowe, przedstawiające różne rodzaje ornamentu pasiakowego z zapasek regionu świętokrzyskiego w skali 1:1. Tablice te wykonali pod moim nadzorem uczniowie Wojewódzkiej Szkoły Rzemiosła Artystycznego w Kielcach, którzy w dniach wolnych od nauki odwiedzali swoje rodzinne strony i brali do odwzorowania najstarsze zapaski, noszone we własnych rodzinach. Każda tablica ma na odwrocie notatkę, zawierającą dane pochodzenia: wieś, gminę, datę i nazwiska wykonawców oraz noszących je obecnie.

Cały zebrany materiał podzieliłem na kilka zasadniczych typów, a to:

1) Staroświętokrzyski czyli t. zw. mirzecki („laski" poprzeczne).
2) „Świętokrzyski", czyli bieliński, albo gidelski,
3) Domaszowski czyli „tutejszy",
4) t. zw. krakowski,
5) t. zw. łowicki,
6) typy mieszane.

Z wyjątkiem typu staroświętokrzyskiego czyli mirzeckiego wszystkie typy zapasek można widzieć w różnych zagęszczeniach na całym obszarze regionu z wyłączeniem jedynie enklawy mirzeckiej, gdzie typem panującym jest zapaska „modra" (czarna) z poprzecznymi laskami białymi. Zapaski „świętokrzyskie" czyli bielińskie albo gidelskie występują najgęściej w okolicach św. Krzyża (Bieliny, Słupia Nowa, Tarżek, Świętomarz), ale równocześnie można je napotkać daleko na zachód i południe od Kielc. Na północ sięgają aż w powiat konecki. W tych samych stronach pod św. Krzyżem, gdzie spodziewaliśmy się widzieć tylko zapaski cynobrowe z czarnymi laskami o różnych ustawieniach i grubościach (zależnie od wieku nosicielki — im starsza kobieta tym więcej czarnego), czyli zapaski t. zw. świętokrzyskie, spotkamy także zapaski „domaszowskie", które i na tym terenie mogą być uważane za „tutejsze" gdyż występują dość gęsto. Są to zapaski „modre", czyli czarne z drobniutkimi i gęstymi laseczkami najczęściej buraczkowej maści. Wedle zapewnień starych kobiet te „tutejsze" zapaski były dawniej całkiem „modre" i dopiero od niedawna zaczęto tkać je w paseczki.

Obok opisanych nosi się także zapaski „krakowskie", które stały się w regionie modne w okresie międzywojennym.

Na kilka lat przed wybuchem ostatniej wojny zaczęła rozpowszechniać się w zapaskach moda „łowicka". W czasie wojny objęła cały region, wprowadzając w strój kobiety świętokrzyskiej, dostojny swoją powagą, nieprawdopodobne rozwydrzenie kolorystyczne. Lud tutejszy, który do tej pory nie znosił żadnych zieleni, różów, oranżów i fioletów — te ostatnie raziły go najwięcej — nagle zaczął „olśniewać" nieświadomych rzeczy „panów z miasta" „przebogatą barwnością" swych strojów kobiecych. Wedle bowiem pojęć różnych nałogowych chłopomanów, „popierających przemysł ludowy" często dla osiągnięcia celów „praktycznych" (eksport) i krzewiących z misyjnym namaszczeniem „ludowość" wśród ludu przez podtykanie mu pseudoludowych wzorów, chłop powinien być zawsze prostakiem i jego sztuka powinna tonąć w najordynarniejszych jaskrawiznach. Jeżeli dzisiaj zażąda się ze wsi przysłania jakiegoś zespołu, odzianego w stroje „regionalne", to na oznaczone miejsce przyjadą z Kielecczyzny dziewuchy brane w pseudokrakowskie spódniczki, w jakieś stylizowane gorsety, jak na scenę do baletu Parnela, i pożal się Boże, zapaski jakich „oko nie słyszało, jakich ucho nie widziało" i to bardzo często z wełny fabrycznej, puszyście sprzędzionej i w tkaninie bardzo lekko zbijanej.

Jedynym typem, którego zasięg można byłoby pokazać na mapie, jest zapaska świętokrzyska czyli mirzecka.

O ZAPASCE I JEJ GENEALOGII

Zapaska mirzecka jest znacznie dłuższa od pozostałych typów zapasek i sięga kobietom poniżej kolan. Sporządzona jest z tego samego wełnianego tworzywa, jaki produkuje się w całym regionie, ale na nieco węższych krosnach. Dwa płaty zamierzonej długości zszywa się ze sobą podłużnymi krawędziami, aby poprzeczne białe laski wątkowe stykały się ze sobą na szwie, który w gotowej zapasce biegnie wzdłuż pleców. Górna krawędź zszytych płatów otrzymuje zmarszczenie, odpowiadające swą szerokością obwodowi szyi oraz obszywkę w kształcie niskiego, stojącego kołnierzyka sukiennego, gęsto wyszywanego kolorowymi nićmi. Zapaskę zapina się pod brodą na haftkę, lub zawiązuje na troki z kolorowych wstążek. Zapaska tak zapięta okrywa ramiona i plecy, z przodu jest jednak dość szeroko rozwarta, więc w czasie deszczu zakłada się ją na czoło i zapina pod brodą. Trzymając rękami od wewnątrz obie poły można się zapaską dobrze otulić przed deszczem, przyczym ów stojący kołnierzyk tworzy dookoła twarzy jakby ochronne obramowanie. Jest to zapaska „do odzienia" czyli rodzaj peleryny.

Zapaski wszelkich typów są tkaninami wymiarowymi, t.j. niezależnie od ilości nawiniętej osnowy w krosnach, każdą utkaną sztukę odcina się osobno. Osnowa jest najczęściej lniana (może być wełniana) o gęstości około 1 cm : 5. Mocne skręcenie nici i gęste ubijanie w robocie czyni zapaskę tkaną spolstą (bez konieczności jej spilśniania czyli folowania), doskonale chroniącą przed zimnem i deszczem. Nić wątka całkowicie zakrywa osnowę, która nigdzie nie jest narażona na przetarcie, i dlatego zapaski żyją bardzo długo bez wyraźnych śladów zużycia. Stuletnie zapaski nie należą do rzadkości. Można się dlatego łatwo przekonać, że wszystkie opisane przeze mnie typy, prócz „krakowskiego" i „łowickiego" znane były i rozpowszechnione w całym regionie od dawien dawna.

Wymiarowość zapasek, sposób przygotowania tworzywa i jego traktowanie w tkaniu, zastosowanie gotowej tkaniny bez kroju, staranne zaobrębienie końców osnowy i unikanie strzępców (frędzli), tak typowych dla tkactwa śródziemnomorskiego i jego odgałęzień zachodnio - europejskich, pozwala przypuszczać, że zapaska jest pozostałością stroju **prasłowiańskiego.** Porównywanie zapasek do stroju mniszek nie wytrzymuje krytyki, gdyż podstawowym składnikiem stroju zakonnego jest habit czyli szata krojona z tkaniny bieżącej i następnie szyta.

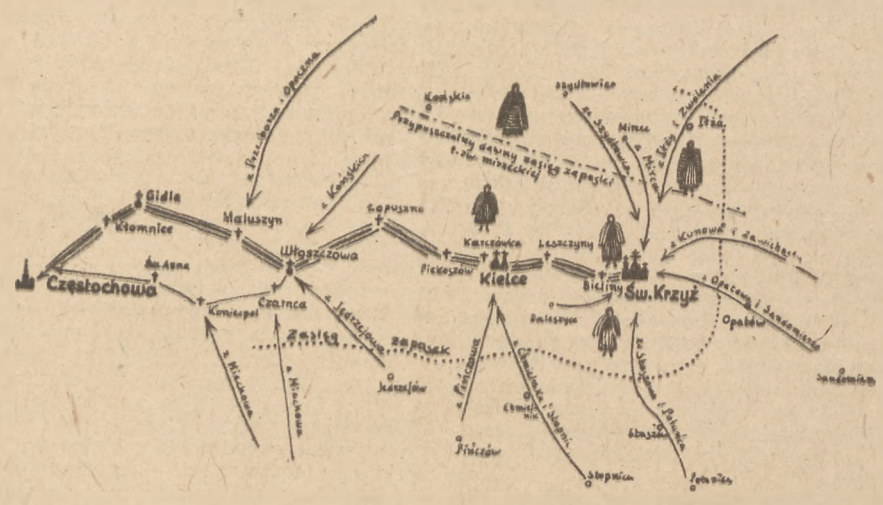

Zasięg zapasek i świętokrzyskie drogi pątnicze

WĘDRÓWKI MODY WZDŁUŻ ŚWIĘTYCH DRÓG PIELGRZYMEK

Na zachowanie się w tutejszym regionie tkaniny wymiarowej jako wykształconego elementu kostiumologicznego wpłynęło bardzo wiele czynników. Względy natury praktycznej i ekonomicznej, ogólne zacofanie całej krainy puszczackiej, oddalenie od środowisk z których lud mógł czerpać obce wzory do tworzenia nowych form kostiumologicznych a także upośledzenie kobiety wiejskiej. Cały region świętokrzyski, na którym zachowała się zapaska w swojej archaicznej formie był prawdopodobnie już od XI w. własnością biskupów krakowskich. W ich rozległych dobrach nie było dworów szlacheckich, za pośrednictwem których obce formy mogły przenikać do ludu. Nie było również większych miast a mieszczanie tutejsi w niczym nie różnili się od wieśniaków, bo ich głównym zajęciem zarobkowym było gospodarstwo rolnicze i hodowlane. Rzemiosła i kramarstwo uprawiano ubocznie. Chłop bez żadnych trudności mógł przenieść się do miasta, a mieszczanin często przenosił się na wieś (J. Pazdur, Dzieje Kielc od XVI do XVIII w., Kielce 1947). Ruch przejezdnych był słaby i jeżeli istniał, to ze względu na trudności komunikacyjne trzymał się kilku głównych szlaków i nie przenikał w zapadłe kąty krainy, administrowanej przez biskupich starostów. Miejscowe targi i jarmarki nie mogły być „oknem na świat" dla ludności wiejskiej. Na dalsze targi wyjeżdżał tylko chłop; kobiety zostawały przy gospodarstwie. Niektórzy tylko chłopi jako woźnice wyjeżdżali do Bochni i Wieliczki po sól, z garnkami łagowskimi i iłżeckimi do Krakowa i Solca (gdzie też wywożono owies i pszenicę z biskupich włości), a z szewcami na powiślańskie targowiska. Woźnica nie mógł jednak przyjrzeć się wszystkiemu, bo miał i tak dość roboty z wozem na karkołomnych drogach, wszakże coś niecoś podpatrzył i choć naogół mężczyźni nosili samodziałowe sukmany, kaftany i portki z wełniaka, to jednak ten i ów dał sobie szyć w mieście sukmanę z cechowego, pilśniowego (folowanego) sukna i za wzór kroju nierzadko brał księżą sutannę lub opończę. Wracając z podróży kupił babie i dziewuchom kramnego „płócienka" na kusą koszulę, lub cieńkiego sukna na „stanik" (gorset). Jeżeli chciała się jaka kobieta wystroić na odpust lub weselisko, to mogła sobie utkać tylko zapaskę ze „swojego", a tego „swojego" było zawsze pod dostatkiem, bo w Kielecczyźnie od wieków kwitła hodowla owiec i to nie tylko w zwartych stadach na folwarkach biskupich, lecz także w stadkach rozprószonych po wszystkich gospodarstwach chłopskich. Zapracowana i skąpiąca sobie wszystkiego ,za co trzeba było płacić gotowym groszem, mogła z kramnych materiałów wyszyć sobie „w oczko" koszulę, „w orzełki" chustę na głowę i ozdobić swój stanik tasiemkami i połyskliwymi guziczkami ze szkła lub metalu. Najczęściej matko robiły dla córek. Na krojenie dla siebie jakichkolwiek szat nie miała odpowiedniego materiału ani czasu. Nosiła więc na codzień zapaskę po babce, na targ do miasta po matce, a na odpust tkała sobie co roku nową, żeby potym obdzielić nimi dzieci. Kobieta mogła być biedna, ale jeżeli przy gospodarstwie chowały się owce, to zapasek nie zbrakło nigdy. Czterdzieści zapasek u jednej gospodyni nie było jeszcze zbytkiem, każda zaś była inna. Trzeba mieć oko świętokrzyskiej kobiety, by móc rozróżnić te odmiany lasek i kolorów, bo przecież kobieta na całym globie ziemskim jest jednakowe, więc również w Bielinach, czy Kostomłotach lub Duraczowie liczono się z modą.

Starałem się najpierw wytłumaczyć, że kobieta świętokrzyska siedziała w swojej zapadłej wsi, jak tabaka w rogu, nic nigdy nie widziała, niczego nigdzie nie mogła zobaczyć, więc skądże, tkając nową zapaskę, mogła była uwzględniać wymagania najnowszej mody? Chłop, wyjeżdżając na dalsze jarmarki, nie znał się na tym. Dziad wędrowny, mógł opowiadać różne dziwy o dalekim świecie, ale przecież nie „przetłumaczył" wszystkiego dokumentnie i zrozumiale.

Przez długie wieki jedyną drogą, którą szła wymiana dorobku kultury ludowej w obrębie regionu i spoza jego granic, był szlak pątniczy św. Krzyż — Jasna Góra. W kompaniach przeważały jak dziś kobiety, które krzepiąc serca na wędrówce do Świętego Obrazu gorącymi modłami i nabożnym śpiewaniem, przyglądały się ludziom z dalszych stron i porównywały swoją dolę z cudzą. Która z nich zakosztowała rozkoszy poznawania świata, tę rok rocznie kusiło, by jeszcze raz odbyć taką samą drogę. Z pielgrzymki przynosiły kobiety różne szklaplerze, medaliki a także i wspomnienia, do których chętnie się wracało. Pielgrzymki schodziły się z różnych stron najpierw na Św. Krzyż i stąd po nabożeństwie i obcałowaniu dwuramiennego relikwiarza ruszały tradycyjnym szlakiem przez Bieliny, Leszczyny, Kielce, Karczówkę, Piekoszów itd. do Częstochowy. Ostatnim z ważniejszych postojów były Gidle, już niedaleko od celu pielgrzymki. Starsze kobiety, z którymi rozmawiałem o ich pielgrzymkach do Częstochowy, zapewniały mnie, że w Gidlach widziały piękne czerwone zapaski z czarnymi laseczkami, więc już nie dziwiłem się, że w Niewachlowie tego rodzaju zapaski nazywano „gidelskimi". Ciągi pątnicze przechodziły przez różne wsie, dołączały do głównego szlaku i w drodze powrotnej oddalały się od niego. I tak różnego rodzaju nowinki docierały do najbardziej zabitych deskami osiedli. Może kiedyś każda okolica miała swoją odmianę zapasek, swoje kolory, swoje sposoby rozmieszczania lasek, ale z czasem zaczęły wytworzone typy wędrować, przenosić się z miejsca na miejsce: w jednym miejscu zamierała chwilowo jakaś odmiana, by po jakimś czasie znów wrócić wraz z modą. I nie wiadomo, czy cynobrowe zapaski wyrabiano najpierw w Bielinach, skąd przedostawały się do dalekich Gidel, czy też było odwrotnie. Nazwy typów, używane przez lud, nic nam już nie powiedzą; mówią one tylko o doli tutejszej kobiety w dawnych czasach, kiedy to wstawienie skromnej laseczki czerwonej w czarne tło zapaski w nowym rytmicznym układzie było radosnym przeżyciem, kojącym naturalne tęsknoty estetyczne prymitywnego a równocześnie tak bardzo powściągliwego człowieka z Łysogór.

Typy zapasek w Świętokrzyskim

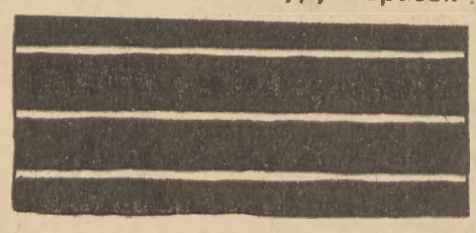

Fragment zapaski (tkanej w rodzinie Marii Piętek około 1860 r. we wsi Pardotów, gm. Odrowąż, pow. konecki. Kolory: czarny pochodny od indyga i biały. Typ t. zw. staroświętokrzyski czyli mirzecki noszony poprzecznie.

Fragment zapaski tkanej 1925 r. przez Marię Kaczmarską w Dyminach. Kolory: czarny i ciemnoburaczkowy. Typ. t. zw. domaszowski czyli „tutejszy".

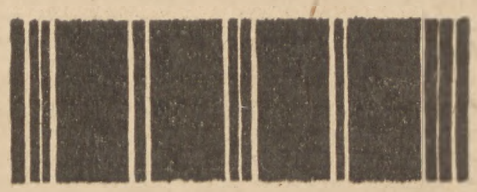

Fragment zapaski kupionej około 1850 roku w Masłowie. Kolory: czarny, pochodny od indyga i cynobrowy. Typ t. zw. świętokrzyski czyli bieliński (gidelski) dla starszej kobiety. (Własność pp. Śildzikowskich w Kielcach).

Fragment zapaski tkanej ok. 1900 r. przez Irenę Kanię we wsi Rykoszyn, gm. Zajączków. Kolory: czarny i cynober. Typ domaszowski czyli: „tutejszy".

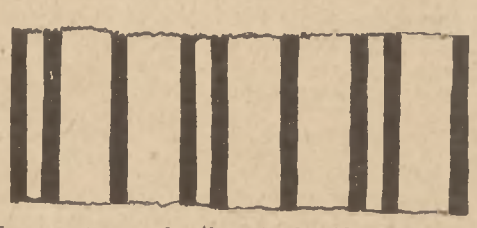

Fragment zapaski tkanej ok. 1880 r. przez Marię Kudas we wsi Górno, gm. Piekoszów. Kolory: cynober i czarny. Typ t. zw. świętokrzyski czyli bieliński (gidelski) dla młodej mężatki.

Fragment zapaski tkanej ok. 1930 r. przez Franciszkę Witkowską we wsi Wincentyn, gm. Piekoszów. Kolory: czarny, cynober i jako cienkie laseczki między grubszymi czarnymi laskami zielony. Raport symetryczny. Typ t. zw. krakowski.

Fragment zapaski tkanej ok. 1905 r. przez Stefanię Borowiec we wsi Krasnej, gm. Duraczów, pow. konecki. Kolory: karmin i czarny. Typ. t. zw. świętokrzyski czyli bieliński (gidelskiej) dla panny.

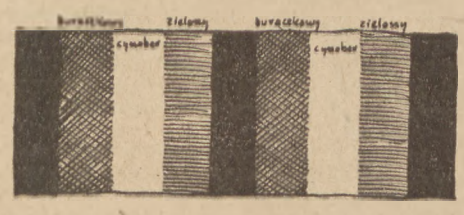

Fragment zapaski tkanej w 1928 r. przez Teodorę Gładyszową w Dyminach. Kolory: czarny, ciemno - buraczkowy, zielony i cynober. Typ t. zw. krakowski.

PRZYSZŁOŚĆ ZAPASKI.

Jaki los czeka zapaskę w przyszłości? Byłoby niedorzecznością spodziewać się, że lud pozostanie obojętny na przemiany cywilizacyjne, społeczne, gospodarcze i kulturalne, które przyniósł czas nowy. Los zapaski jest związany nie tyle z tradycjami ludowej sztuki tkackiej i z upodobaniami kobiet wiejskich, co z zagadnieniami ekonomicznymi. Dopóki opłaci się chłopu hodować owce, dopóki wieś nie będzie tak bogata, by stać ją było na kupowanie w mieście wszystkich potrzebnych fabrykatów, dopóty zapaska nie ustąpi ze swojego naczelnego miejsca w stroju świętokrzyskiej kobiety. Trzeba przyznać, że lud tutejszy jest przywiązany do swojego tradycyjnego okrycia i nie tak prędko wyzbędzie się go na rzecz miejskich „ciuchów" które zużywają się rychło, gdy zapaska jest obleczeniem trwałym, długowiecznym i przez to bardzo ekonomicznym.

Henryk Biłka

IDYLLE

ELEKTRYFIKACJA WSI

Wieczór zalegał w chałupie —
Maryśka wzrokiem na ścianę;
tam przywarta tkwi mała półeczka,
na niej kaganek gliniany przykucnął;
kot widmem spłynął w kąt.
— Bodajżeś zdechł! — zjadł masło i knot —
czemże teraz oświecić mieszkanie?...
Kot oczami pod łóżkiem zaświecił.
Na nim sto przekleństw usiadło —
on winien, kot winien,
trzeba go zbić,
Czupiradło!...

— Ej, wnuczęta!
Żarówka zalała cały pokój słońcem.
Babcia pod lampionem siąda —
dużo bajek w pamięci zastygło —
Opowieść o kaganku i kocie,
wnuk w szeregu bajek ustawił.
I potem babcia Marysi na oczy
dłonie kładzie —
kontakt w poprzek —
niech sen się toczy
spokojny.
Jutro światło rozbłyśnie znów.

RADIO NA WSI

Lat temu dwadzieścia —
detefon na małym stoliku,
na wsi zakątku,
miał sztubak wiejski,
przybyły latem ze szkoły
z przedmieścia.
W dzień —
pasł krowy i woły,
wieczorem w izbie cień
zapadał i...
słuchał jak świat gra, śpiewa i gada.
Wnet słuchacze w późną noc —
słuchawki z uszu do uszu —
słuchają, dziw...
Djabeł to?, czary?,
Zła moc!...
Żegnając się głośno w krzyż: Rzekł stary,

W Domu Ludowym w gromadzie
zebrali się zgodnie
na radzie
i..
w dwa tygodnie
do wsi z głośnikiem uniwersytet spłynął,
Chopin z Mozartem w sadach grają cudnie,
w południe
z hejnałem Mariackiej wieży
zaśpiewał arję Breggy,
a tuż
zieloną uboczą —
któż? —
Mickiewicz z Szekspirem kroczą...
W niedzielę z rana stary
drżącą, wychudłą dłonią
kontakt głośnika przekręcił ostrożnie,
przeżegnał się nabożnie;
na nabożeństwo dzwonią
z wrocławskiej fary!

DOM LUDOWY

Wspominam...
Chata kryła się w drzewach,
słońce model gruszy posuwa po ścianie,
skrzyp nierównych drzwi,
kur, jajka niosących gdakanie,
stróż podwórza —
Burek budę ogonem jak miotłą odkurzał.
Ja —
kijek zabrawszy pastuszy —
skotnią z krów rykiem
na wygon odpływam
i śpiewam.
Nad rzeczką
krowy ozory wnet w trawę zawiną;
ja pod wierzbiną —
marzenia z wody płyną w dal...

Wspomnieniem lecę dawną wsią —
lata przebiegły szeregiem: —
nad rzeczką sadem zakwitło...
wierzba spłynęła wodą...
nie kłaniam się niskim pułapom...
a znajomi z uśmiechem mnie wiodą
wsią.
Ja do młodzieży zerkam:
— Hejże! Dziś na oberka
w Ludowy Dom!

Lech Budrecki

JEAN GIONO—CHŁOPSKI PISARZ FRANCUSKI

Polskim pisarzom chłopskim poświęcam

1. PRECZ Z CYWILIZACJĄ

Ci wszyscy, którzy czytali pierwszy tomik poezji Jeana Giono z wielką satysfakcją mogli śledzić niezwykłe powodzenie jego ostatnich publikacji powieściowych. Nieznany prozaik z odległego Manosque zdobył tuż przed wojną zadziwiającą popularność. Dzieła jego zaczęto tłumaczyć i rozpowszechnias zagranicą. „Les nouvelles litteraires" umieściły wywiad i reportaż o wielkim pisarzu z gór. Szklane gablotki zawierające egzemplarze literackich osiągnięć kilkudziesięciu ostatnich lat zaczynają mieścić na swoich półkach szczupłe tomiki „Pana". Zaraz za edycjami dzieł Gide'a, a w miejscu wyznaczonym im przez alfabet, spoczywają książki w białych, papierowych okładkach, leżące tu wcale nie na skutek tylko przypadku. W pedantyzmie bibliotekarza wpychającego na tę półkę właśnie powieści Jean'a Giono tkwi daleko posunięte zrozumienie **klimatu artystycznego XX-lecia.** „Nourritures terrestres" patronują „Wielkiej trzodzie" tak, jak patronowały całej młodzieży literackiej tej właśnie epoki. Purytański prorok immoralizmu nie darmo bowiem był nazwany Goethem naszego wieku.

„Niezgłębiona jest studnia przeszłości" wołał Tomasz Mann, starając się dotrzeć do źródeł biblijnych opowieści. Bo właśnie chciano odszukać pierwotność. Podjął się tego właśnie Giono. **Pierwotność to wieś, to chłopi** w surowych Alpach, to samotność Panturle'a. Ucieczka od urbanizmu ,od cywilizacji prowadzi bezpośrednio w okolice opustoszałych osiedli i porzuconych winnic. Tu otwiera się ziemia obiecana. Zdala od wielkich metropolii, zdala od wypoczynkowych will rentierów, od zadymionych przedmieść, które zawsze omijał wzrok podróżnika z Süd-Expressu. Był to czas, kiedy **złorzeczono miastom i złorzeczono wiekowi.** „Trzeba odrzucić rozum, by odnaleźć wszystkie czynniki ludzkiego ducha i ciała". Tak streszczano wywody nowych filozofów. „Odszukać wolę i anty-racjonalne pierwiastki człowieka". To powtórzy się wszędzie. Natchnienione proroctwa Zarathustry podchwyci przekupień z podgórskiego miasteczka w „Regaii". Łamie się dawny system ekonomiczny, łamie się mieszczaństwo, łamią się dotychczasowe normy poznania. Knut Hamsun grozi już industralizacji z małych miasteczek Norwegii, Gauguin wyjeżdża na Tahiti, Pierre Loti ucieka do egzotyzmu. Na nowo odkryć prymitywizm, odnaleźć raj utracony, ogrody arkadyjskie, cofnąć się daleko w przeszłość, wrócić do dawnej szczęśliwości trwającej jeszcze na małych wysepkach Polinezji. Wokół bowiem trwa kryzys i życie staje się straszne. Zaciemniają się obrazy w powieści Zoli, nadchodzi przerażenie. W kabaretach rodzi się histeria rozpaczy. Kto temu jest winien? „Cywilizacja, zakazany owoc z drzewa wiadomości" — odpowiadają poeci i metafizycy. Człowiek prawdziwy, człowiek pełny, to **ktoś pierwotny,** ktoś nie znający jeszcze osiągnięć kultury. Ciało jego to doskonałość i dynamizm. Oto hasła przenikające zarówno „Pana", jak „Wielką trzodę", jak i „Bitwy w górach". A już niedaleko stąd rozpoczyna się nowa mądrość, nowa nauka, której tytułowe zdanie brzmi „Blut und Boden". Nic więc dziwnego, że Jean Giono po długich wędrówkach oparł się o nią. Opowieść o urodzie ludzkiej egzystencji, musiała znaleźć wreszcie swe ujście.

2. BAWIALNIA DROBNOMIESZCZAN.

„Pod powiekami opadłymi oczy świeciły połyskiem złota jak oczy w słońcu. Otworzył oczy. Jasna noc unosiła trzy duże, blade gwiazdy. W zielonej zorzy wychylały się ku dołowi czarne ramiona obłoków, zatykających doliny".

Ten tok opowiadania wydaje się aż nazbyt dobrze znany. Jego główny nurt tak łatwo przecież uchwycić. To poetycyzm. W zdania prozy wdzierają się metafory poetyckie. Porównanie przechodzi do rzędu najprostszych form autorskiej wypowiedzi. Opis bez niego staje się wręcz niemożliwy. Przedmioty zaś zatracają powoli te wszystkie właściwości, które poznaliśmy tak dobrze w życiu codziennym. Realia nabierają nowych cech, nowych przymiotów. Są poetyckie. Walory krajobrazów uległy już przemianom w myśl zasad innej estetyki. Ziemia **musi być piękna,** ziemia **musi być zupełnie niepodobna** do tej, której istnienie stwierdzamy codziennie własnym doświadczeniem. Otoczono ją zawiłą metaforyką, zaczerpniętą obficie z historii zdobnictwa poetyckiego. Pejzaże przebudowano za pomocą odległych skojarzeń, za pomocą zawiłych zestawień, które uchodziły kilkadziesiąt lat temu za odkrywcze.

Wobec tych samych zjawisk zachowujemy się nieraz zupełnie inaczej. Kilku niczym nie różniących się od siebie na pierwszy rzut oka ludzi będzie doznawać zupełnie sprzecznych uczuć słuchających „Elegii" Masseneta. Jeden zawoła: „Szmira", drugi powie: „Wspaniałe". Jestem przekonany jednak, że ci dwaj koledzy o tak różnych gustach muzycznych wykazaliby zadziwiającą zgodność po przeczytaniu kilku zaledwie stronic Jeana Giono. Obaj wzruszając ramionami przyznaliby, choć może niechętnie: Opisy nie są prawdziwe. Wyobrażenia o przedmiotach nie zgodne z ich wyglądem. Pisarz odbarwia rzecz, wydaje ją na pastwę poetyckich porównań. One to mają nas przekonać, że pejzaż jest piękny, że odpowiada estetycznym upodobaniom czytelników. Ziemia powinna ich olśnić. Na niej rodzą się przecież „noce bez głębi" i „błękitne skrzydła wieczoru". Mimo woli przypomina się ów stary termin, którym chciano kiedyś ochrzcić manierę stylistyczną „Młodej Polski": **bibeloclarstwo poetyckich rekwizytów.**

Wszyscyśmy chyba widzieli oleodruk. W każdym drobnomieszczańskim mieszkaniu pełno jest takich obrazków. Zawierają one zazwyczaj gwiazdę, trzy sosny, strumyk i „błękitne skrzydła wieczoru" Właściciele niewielkich cukierenek, posiadacze sklepów kolonialnych wielbią podobne dzieła chyba w tym samym stopniu co litografię z dorodnym ułanem i hożą dziewczyną. W jednym pokoju wiszą zazwyczaj dwa takie obrazy. Gdy je oglądam zawieszone na ścianie, oprawione w pozłacane ramy, myślę o pejzażach Jean'a Giono, dziwiąc się nieraz niedomyślności wydawców, którzy tak małym kosztem mogliby zdobyć świetne ilustracje choćby do „Kotliny".

Drobnomieszczanie rzadko demaskują się z rozmysłem. Czynią to zato nieświadomie w swych książkach. Tylko niekiedy stać ich na pasję Celine'a, którego powieści są tak bardzo zbliżone do prokuratorskiej mowy, do aktu samooskarżenia. Przezorny Giono będzie unikał okrutnego ekshibicjonizmu. Aktorzy bowiem nie powinni zrywać masek na scenie. Od tego są przecież kuluary teatru.

Dlatego i w „Wielkiej trzodzie" i w „Bitwach w górach" i w „Kotlinie" panować będzie niczym nie zmącona, niczym nie zakłócona **sielskość. Zupełnie jak u Reymonta.** I słusznie. Cóż bowiem zostałoby z baśni, gdyby Kopciuszek kradł i gdyby królewicz zabijał? Pękłby ów doskonały ład, w jakim trwa ten pokój zastawiony figurkami z porcelany i z kryształu. Bibeloty te przesłoniły już widok ścian, zniekształcając mieszkanie. Ach, jak bardzo przypomina to wszystko niezawodnie urządzony świat w „Panie". Świat, czy **drobnomieszczańską bawialnię?**

3. KINO I BIOLOGIA.

„Zszedł z drogi, posuwał się teraz cicho po łące, przekroczył drogę trzema dużymi susami, wszedł na łąkę, odnalazł drogę, opuścił ostatecznie drogę. „Czytając te zdania przypominam sobie, z jaką ciekawością zbliżałem się niegdyś do grubego dziennika, z którym nigdy nie rozstawał się jeden z dawnych przyjaciół mego ojca, znany przyrodnik. Uczony ów badał życie lam w niewoli. Codzień tedy przystawał przed zagrodą peiną tych zwierząt, trzymając w ręku ciężki brulion. Znali go już wszyscy bywalcy ogrodów zoologicznych. A on godzinami patrzył i pisał. Szkoda, że nie mam w tej chwili pod ręką jego notatek. Jestem przekonany bowiem, że styl ich różniłby się bardzo nieznacznie od prozy Giono. Ten sam sposób ujmowania zdarzeń. Wyliczenie, enumeracja, próba sporządzenia wielkiego katalogu. Tu nie potrzeba długiej opisowej narracji. Człowiek stoi przed **kamerą filmową,** robi gest. Gest zostaje natychmiast uchwycony. Gdyby ktoś musiał streszczać bardzo dokładnie film, uciekłby się chyba do tej samej maniery pisarskiej. Nie darmo wielbiciel samotnego Manosque chciał zmienić powieść w lampę magiczną, w iluzjon, w najdziwaczniejszy z wynalazków, którym bracia Lumière tak świetnie zamknęli wiek XIX. Mamy ekran. Widzimy ruch. Dostrzegamy twarze, słyszymy słowa. Nic ponad to nie jest nam dane. Wyobrażam sobie przerażenie, z jakim adoratorzy Mauriac'a i Bernanosa przyjąć musieli „Bitwy w górach". Odrzucono w nich przecież wyprawy w głąb ludzkiej świadomości. Śledzenie każdego odruchu psychicznego uznano za zbyteczne, i to właśnie wtedy, gdy André Malraux wdzierał się w „Czasach pogardy" do wnętrza człowieka. A tu zaproponowano kamerę, zaproponowano wyrzeczenie się całej tradycji psychologizmu od Bourget'a aż po Gide'a. Giono sięgnął po nowych patronów. Szukał ich w Ameryce i w Skandynawii: Hamsun i Hemingway. Oto źródła nowych możliwości. Tak twierdził przynajmniej pisarz z gór. Z wczesnego dzieciństwa zapamiętałem najlepiej fragmenty filmów. Chodziłem wówczas bardzo często do kina, nurzając się w dziwacznych perypetiach, które odbywały się tuż przede mną, na białym kwadracie płótna. Podziwiałem je bez zastrzeżeń. Jedno tylko potrafiło doprowadzić mnie do stanu wyraźnego niezadowolenia: nadmiar ruchów, nadmiar gestu. Po skończeniu seansu wychodząc na ulicę uważnie obserwowałem przechodniów. Szli poważnie, spokojnie. A na ekranie przed chwilą jeszcze zachowywali się gwałtownie, nieostrożnie, robiąc przeraźliwe miny. Marszczyło się im czoło, drżały ręce. Na podstawie tych oznak przypuszczaliśmy, co myśli teraz bohaterski detektyw, czemu płacze uciemiężona piękność i co planuje ścigany zewsząd morderca. Inaczej nie moglibyśmy z niczego wnioskować o ich wrażeniach, o ich doznaniach. Kamera pisarza nie potrzebuje marionetkowych aktorów, kamera pisarza notuje także wewnętrzne doznania postaci. Autor bowiem jest wszechwiedzący. To ostatni z jego boskich atrybutów. Ogranicza on bowiem już swoją wszechwiedzę do tych faktów, których jest najzupełniej pewien. Każdy człowiek dotknąwszy kory stwierdzi jej chropowatość, każdy człowiek uderzający o kamień — odczuje ból. To nie ulega wszelkim wątpliwościom. Ale wszystkie inne asocjacje psychiczne są przecież niesprawdzalne. Należy je tedy odrzucić, a przynajmniej ograniczyć do minimum. Jak najmniej skojarzeniowych monologów wewnętrznych. Pisarz jest człowiekiem i wie tylko tyle, ile każdy z bohaterów jego książek. Proustowska magdalenka już się nie powtórzy. Postacie z powieści przypominają postacie filmu. To zwykli ludzie na ulicy, w kinie, na plaży. Przedmiot widzenia, przedmiot obserwacji, zwierzę, które bada skrupulatny zoolog. Wszystkie metafory Giono zmierzają ku temu. Jego wyobraźnia chwyta podobieństwo chłopa i muła, Boromeusza i barana. To **animalizm,** uwielbienie człowieka jako **biologicznego organizmu,** kult człowieka nie społecznego, kult samotnego Paturle'a, **dobrodusznego olbrzyma o mocnych mięśniach.**

4. BIBLIA DROBNOMIESZCZAŃSKA.

W górach trwa powódź. Kilku chłopów we wsi odciętej zupełnie przez wodę rozmawia ze sobą. Jeden z nich Chaudan mówi po namyśle: „Nie ma tu nic oprócz wody i nas". Znamienne słowa. Przez wszystkie powieści Giono wracają one w zmienionej nieco postaci: **„Nie ma tu nic oprócz przyrody i nas".** To właśnie głosi poprawne sformułowanie tak dziwacznej na pozór sentencji. Ucieczka w pierwotność prowadzi nieuchronnnie do uznania podobnego dualizmu za podstawowy konflikt w dziejach świata. Taka walka ma być prostą i doskonałą. Z jednej strony człowiek, a z drugiej — wzburzony strumień wód. To samo co i w „Błogosławieństwie ziemi" Hamsuna: prosty chłop przeciw przyrodzie. Jak widać morał się nie zmienił. Stanowi on przecież podstawę opowieści o osamotnionym Panturle'u, który zakłada rodzinę w opustoszałej i porzuconej zupełnie wsi. W tej właśnie anegdocie ukrywa się próba rekonstrukcji początków cywilizacji. Giono przypomina tutaj archeologa odtwarzającego z fragmentów wykopalisk dawną świątynię pośród drapaczy chmur. Śmieszny to wysiłek i rozpaczliwy.

Większość uważnych czytelników mówi po przeczytaniu „Kotliny": „Ależ prostota, zupełna prostota". Tak, nawrót do pierwotności kazał się wyrzec rozbijania składni i członkowania frazy, co uprawiali z takim powodzeniem literaccy nauczyciele międzywojenni. Solidarność z prostotą, oto termin, przy pomocy którego możnaby częściowo chociaż zdefiniować zasady stylistyczne „Bitwy w górach" .Zdania są krótkie.Możliwie jak najmniej rozbudowane jak najbardziej zwarte. Po długich i niekończących się opisach wkracza przecież w tok opowiadania narracja do złudzenia wprost przypominająca **urywki Biblii.** To odpowiedź na długie rytmiczne frazy Proust'a, na zawiłe konstrukcje stylistyczne Gide'a. Prostota za wszelką cenę, prostota godząca w podstawowe reguły ówczesnej literatury. Dla skomplikowanego świata Guermante-

(Ciąg dalszy na str. 6-ej)

Seweryn Skulski

ŻYCIORYS PISARZA CHŁOPSKIEGO

1. BIEDA NA POLANÓWCE

Gdy już byłem większym wałkoniem, mówili mi, co potem potwierdziła metryka, że urodziłem się 1 października 1895 r. we wsi Wolica Śniatycka gm. Komarów, pow. Tomaszów Lubelski. Wioski tej nie pomiętam, zato pamiętam wieś Polanówkę, gm. Krynice tego samego powiatu, gdzie ojciec posiadał aż 5-cio morgową gospodarkę. Dom nasz z krzywą stodółką stał daleko od wsi pod dużym lasem nazywającym się Łabuniec.

Piękne położenie miała ta wioska Polanówka, gdyż szła od szosy Tomaszów — Zamość, położona pomiędzy lasami, a ponadto wzdłuż przez środek wsi stał las sosnowy. Tam rosłem beztrosko, wsłuchując się w szumy wysokich sosen, grubych buków, grabów i brzózek. Prawdziwym rajem było dla mnie, gdy się nas zebrało kilku chłopców, biegać samopas po lasach. Wiedzieliśmy, gdzie jakie grzyby są, gdzie poziomki, maliny i czernice. Nieraz na wyścigi w zakład kto wyżej i szybciej na drzewo wlezie. Na szosie sprzedawaliśmy po dwa grosze biczyska, poziomki i maliny w lipowych kadłubkach.

Najbliższa szkoła była w Krynicach, gdzie uczęszczałem zimą. Uczono tam tylko po rosyjsku. W domu pisać i czytać po polsku nauczył mnie ojciec.

Nas, Polaków w szkole nie uczono zasad wiary prawosławnej. Gdy jednak raz przyjechała jakaś komisja powiatowa, gdy już uczniowie przed nią zdali egzamin, to brodaty urzędnik kręcił głową i ustami mlaskał nade mną, że nie jestem Rosjaninem, bo komisja uznała mnie za najzdolniejszego ucznia całej szkoły. Ten brodacz obrócił się do uczniów Rosjan i powiedział im: Żebyście duroki przykład z tego polskiego malca brali, poco się do szkoły chodzi! — I pomimo, że nie uczyłem się zasad religii prawosławnej, tylko pobocznie słyszałem i czasem do książki religijnej zajrzałem, gdy ten brodacz począł mnie pytać z religii, więcej odpowiedziałem niż ci, którzy się jej uczyli.

Za dwa tygodnie nadeszło pismo z Tomaszowa, że władze zabierają mnie, ażeby na koszt rządu uczyć mnie w wyższej szkole.

Gdy o tym w domu powiedziałem, zrobiło się pomiędzy rodzicami rozdwojenie. Ojciec mówił — Idź ,ale pamiętaj, że jesteś i że będziesz tylko i zawsze Polakiem. Jak się nauczysz to i bez ich opieki dasz sobie radę. Matka w płacz i: Nie, oni go popem zrobią. Moje polskie dziecko popem zrobią! — Tak długo płakała, dopóki się nie dowiedziała, że ojciec zrezygnował z posłania mnie do wyższej szkoły.

Jakoś nie długo ojciec sprzedał naszą biedę pięciomorgową na Polanówce i przeniósł się do Łaszczowa, małego miasteczka, gdzie na przedmieściu nabył mały domek jednoizbowy, w którym już w ośmioro musieliśmy się mieścić.

2. MIASTECZKO ŁASZCZÓW

Miasto jak to miasto — błoto, śmiecie, wyziewy. Ale miasto, bo miało kilkanaście metrów chodnika drewnianego od apteki do kościoła, a targ w każdy wtorek.

Nic mnie tak nie ucieszyło jak wiadomość, że w Łaszczowie była biblioteka przy plebanii ,gdzie stała duża szafa książek i gazet. Gazety rozdawano a książki wypożyczano. Wiadomo, że rządził tym ksiądz i hrabia Szeptycki, były tam zatem takie gazety: „Gazeta Świąteczna", „Polski Katolik", „Dzwonek Częstochowski", „Głos Serca Jezusowego" i różne „Posłańce".

Czytałem po kolei wszystko, co mi wpadła do ręki. Gdy mi panienka nie chciała dać tylu książek, żeby mi do drugiej niedzieli starczyło — brałem pod sukmanę bez jej wiedzy i potem je odnosiłem. W domu miałem przydomek „czytelnik".

Byłem dobrym chłopakiem. Byłem z tego dumny, że całe nieszpory umiałem na pamięć, które całą gębą śpiewałem każdej niedzieli. Gdy już gazety dane na przedmieście Domanicz obeszły czytelników, zbierałem je, zeszywałem i chowałem w specjalnie na to zrobionym kuferku.

Czytałem wszystko: bajki, podróże, powiastki, wiersze, powieści, książki naukowe i religijne.

Jednak w tym zabłoconym i zaśmieconym, brudnym i ciasnym Łaszczowie było coś pięknego — był tam najukochańszy i najwięcej ceniony, kształciciel myśli młodzieży, drogi Mieczysław Brzeziński, autor szeregu prac takich jak „Wędrówka obrazkowa po Europie", „O morzach i lądach", „O górach ziejących ogniem", „O wnętrzu ziemi", „O gwiazdach i krajach" itd. Jego prace znajdujące się w bibliotece były mi fundamentem pojęć i światopoglądu. Do dziś czuję wdzięczność do Szeptyckiego za sprowadzenie prac tego mojego kochanego mistrza.

Muszę jednak przyznać, że w Łaszczowie biedowaliśmy bardzo. Nie raz matka zalewała się łzami, co jutro da dzieciom. Było i tak, że nas na cały dzień wysyła na sąsiady, spodziewając się ,że podczas jedzenia coś nam dadzą, bo w domu łyżki strawy nie było. Za sprzedaną biedę na Polanówce ojciec wszystko włożył w tę budę w Łaszczowie. Dopiero dzięki pracy przy murarzach mieliśmy czasem chleb w domu, ale butów i przyzwoitego łacha nigdy wszyscy nie mieliśmy.

Jako chłopak od lat 13 do 16 pracowałem ciężko, nosząc cegły z kozłem na plecach na trzecie piętro przy budowie pałacu Szeptyckiego, a potem ratusza w mieście. Jeszcze ciężej pracowałem pod miastem przy robieniu stawów rybnych Szeptyckiego. Nieraz daleko po deskach woziłem wysoką mokrą ziemię taczkami na groble.

Młodości swojej bezczynnością nie marnowałem. Raz spłonęła część miasta. W domu nic nie mówiłem, wylazłem po cichu na górę i na maglownicy nagryzmoliłem o tym wiadomość do gazety „Ziemi Lubelskiej", którą ojciec prenumerował. Czekałem jak jakiegoś szczęścia kiedy to będzie w gazecie. Latałem po dwa razy dziennie do gminy, aż raz patrzę — jest i to jeszcze w dodatku, że podał Seweryn Skulski, podpisane. Ojciec czyta i dochodzi do tego miejsca, gdzie pisze o pożarze Łaszczowa. Patrzy z bliska, patrzy z daleka. Nie wierzy. Bierze matki okulary. Stoi wyraźnie, że podał Seweryn Skulski.

— Patrz matka — mówi — cały świat wie, że masz syna i że się nazywa Seweryn Skulski. — Widzisz nie chciałaś, żeby popem został, a on i tak filozofem zostanie, choć bosy będzie.

Ojciec się rozczulił, pocałował mnie i kupił mi za to mapę za trzy ruble z czego się wielce cieszyłem. Była to mapa dziesięciu byłych gubernii zaboru rosyjskiego.

Tę mapę szanowałem jak oko w głowie. Na pamięć wiedziałem, gdzie jaka rzeka płynie, każde z nazwy miasto powiatowe w królestwie pamiętałem.

Raz była taka zagadka w gazecie:

„Co to za zwierz w Lubelskiej Ziemi przez pola ,lasy i łąki bieży i ginie w macierzy".

Odgadłem, bo miałem mapę. To była rzeka Wieprz. Dostałem za to ładną książkę o astronomii.

Nigdy nie zapomnę tego, jak do Łaszczowa nastał za wachmistrza to jest starszego nad żandarmami Iwan Dubienko. Taki był służbista, że na rynku ,gdy przekupki po polsku swoje towary zachwalały, wrzeszczał i protokóły kazał pisać młodszemu żandarmowi, bo sam był analfabetą. Gdzieś tam daleko w carskiej Rosji umiał wódkę pić i nachajkę trzymać, to mu wyrobiło awans do Polski na starszego. Pomimo, że grzebałem w książkach i gazetkach i ciężko pracowałem, byłem jednak chłopcem i było we mnie nieco małomiasteczkowego łobuzerstwa. Najczęściej w dnie targowe, spoza wozów i ludzi, ja i inne bose wyrostki, gdy zobaczyliśmy tego analfabetę czynownika, wołaliśmy „niegramotny dałoj"!

Dubienko nie tylko sam wyciągał długie nogi za nami, ale i żandarmom gnać nas kazał. Całe miasto się z tego śmiało.

Raz i to pierwszy raz Dubienko kazał z rynku śmiecie usunąć, te i inne porządki poczynić. Wiedzieliśmy, że coś będzie ważnego. Jakoś pogodnego dnia zjeżdża bryczka, staje na rynku, a z niej wysiadają czynowniki jakieś wielkie. Dubienko na froncie, a reszta żandarmów za nim z rękami u daszków a wykrygowane jak nigdy. Wokoło cicho, nikt spokoju nie zagłusza. Dubienko zdaje jakiś raport, a ja i Janek Kulesza wychylamy głowy z zajazdu i na całe głosy: „Dałoj niegramotny!"

Nie obejrzeliśmy się aż za stodołą Markiewicza. Co z tego wynikło? Prosił rodziców łobuzów, żeby mu dali spokój. Potem go już nie raziło zachwalanie towarów przez przekupki w polskim języku.

Zwykle na jesieni chłopi wozili przez Łaszczów buraki cukrowe, a handlarze byli wielkimi amatorami. A jak tu pobocznie zarobić kilka groszy na kajety, pióra, atrament i ołówek? Chłopi w drodze i na postoju buraków pilnowali, bo za brak na wadze odtrącano im. Za miastem, gdzie droga skręcała rosło niewielkie drzewo z konarami nad drogą. Ja i Janek, wbijamy na długie kije gwoździe, ażeby niepostrzeżenie trafić z góry w buraki. Udało nam się raz, próbowaliśmy dalej, ale nie zauważyliśmy, że nieco dalej szła jeszcze jedna furmanka. Chłop zauważył, co robimy. Miał widać bat nielada, gdy dojechał, jak mnie strugnie, a było to w niedzielę i miałem na sobie nowe spodnie. Siedzę skulony na gałęzi, pod cięciem bata spodnie pękły, a ja — chlap! do błota z burakami.

To nie ważne, że boli, ale jak ja się w domu pokażę i co powiem? Matka zawsze się kłopocze, jak się coś drze któremuś w domu, za co nowe kupi.

Nie udało mi się długo ręką trzymać pękniętych spodni, prawdę powiedziałem, jak się stało. Ojciec tylko za jedno ucho mnie wytargał i skrzyczał, że to nieładnie kraść buraki, żeby handlarzom za parę groszy oddawać i to jeszcze w niedzielę. Jak mówiłem byłem dobrym chłopakiem. Na każdą sumę i nieszpory byłem w kościele, wierzyłem, że ksiądz to najdoskonalszy człowiek w Łaszczowie i okolicy. Ojciec ani mnie gnał do kościoła, ani mi wzbraniał. Sam chodził bardzo mało. Zato matka, jeżeli miała w czym, szła i nawet mówiła na ojca — Ty, Jasiek, jakbyś niedowiarkiem był, tylko w święta do kościoła chodzisz.

Raz z ojcem pracowałem przy kopaniu stawów na ryby. Inżynier kazał nam ziemię rzucać pod płot koło księżego sadu. Tak robiliśmy. Przychodzi ksiądz i tak z miejsca do ojca — Hej, ty chamie, nie rzucać mi tu ziemi. Ojciec: Tak mi kazano. — I jeszcze z większą siłą rzuca ziemię, z której błoto w koło bryzga. Ksiądz poleciał do plebanii, telefonuje do hr. Szeptyckiego i woła przez otwarte okno: — Zabrać mi to bydlę co ziemię rzuca koło płotu, bo go zabiję jak psa. Poczem ze strzelbą latał po sadzie i wołał i wyzywał.

Ojciec nad tym wypadkiem przeszedł do porządku dziennego, ale dla mnie postępowanie tego księdza było pierwszym rozczarowaniem co do księży a nawet i kościoła.

Jakto, ksiądz, poświęcony sługa boży tymi palcami, co krew i ciało Jezusa do góry unosi, spuściłby kurek ażeby człowieka zabić?

Ojca szanowałem, bo choć był ostry, ale sprawiedliwy i nieleniwy. Czytał wszystkim na głos książki i gazety w domu. Opowiadał nam, jak nasz dziadek, któregośmy nie znali miał i czytał zakazane książki, co o powstaniach pisały. Opowiadał o Langiewiczu i walkach powstańców z kozakami koło Tyszowiec. Bardzośmy pilnie słuchali, gdy mówił jak powstańcy wyglądali, co się bili o Polskę.

Najcenniejszą książką moją była „Historia Polski w dwudziestu czterech obrazkach przedstawiona", którą ojciec wygrał w pałacu Szeptyckiego na loterii.

Gdy już przeczytałem wszystkie książki Brzezińskiego i geografię świata z astronomią o gwiazdach i planetach, o wnętrzu ziemi i o bezgranicznej pustej przestrzeni pomiędzy ziemią i innymi ciałami niebieskimi, to zapytałem raz ojca: — Tato, a gdzie jest niebo i piekło? Wszystko opisali mądrzy ludzie, a o piekle i niebie nic nie piszą.

— Dziecko — mówi ojciec — niebo i piekło jest na ziemi. — Ja i tak z tego wtedy nic nie zrozumiałem. — Ojciec mówi, że jest, ksiądz mówi, że jest. Pewnie ,że one gdzieś są.

Po tym księdzu nastał inny ksiądz. Nazywał się Masztalisz. Dla skrócenia drogi chodził spacerem do ziemi proboszczowskiej leżącej daleko pod lasem przez nasze podwórko, którędy szła ścieżka. Ojciec zawsze zaczynał rozmawiać z księdzem na tematy biblijne ,bo i książki traktujące o tym były w naszym domu, naturalnie drukowane za pozwoleniem biskupa. Ojciec na wielu punktach nie zgadzał się i odpowiedź księdza nie zadawalniała go, więc dochodziło do sporów. Po jednej takiej ostrzejszej dyskusji w niedzielę ksiądz z ambony wypowiedział, że dochodzi do tego, że prosty cham chce być mądrzejszy od księdza i chce religię naprawiać. Ale on każe stelmachowi zrobić taką wielką pałę i będzie takich śmiałków, co się sprzeciwiają woli bożej, lał po łbach.

Od tego czasu ksiądz chodził okrężną drogą, byle z ojcem nie spotykać się, a ja od tego czasu przestałem księdza w rękę całować, choć jeszcze matka i siostry to robiły.

3. DO AMERYKI

Dnia 20 czerwca 1912 r. w 16-tym roku życia odjechałem do Ameryki. Pamiętam, był to piękny poranek. Drzewa pachniały już spadającym kwiatem. Łąka przedzielająca nasz dom od miasta była pokryta białożółtym kwiatem, boćki na księżej stodole klekotały. W tarninie przy drodze koło naszego domu, ptaszki poskakiwały z gałązek na gałązki i świergotały a te topole przy okrężnej drodze naokoło pańskiego pałacu były jeszcze wysmuklejsze niż zwykle.

Co może być w duszy takiego chłopca, jak ja? Nie wiele. A jednak coś było, choć praca i bieda były mi towarzyszami w tym Łaszczewie, jednak coś tam było i drogiego dla uczuć moich w tej mieścinie. Znałem tu każdy kąt, każdą ścieżkę za miasto w pola kołyczące się zbożem, pachnące gryką i rzepakiem, bawiące oczy lnem niebieskim i chabrami. Znałem każde drzewo w dębinie. W każdej strudze, które z trzech stron ku miastu płynęły nurkowałem z rówieśnikami. Tu się zbytkowało.

W Łaszczowie dowiedziałem się, że jestem Polakiem i człowiekiem. Brzeziński, Słowacki, Mickiewicz, Konopnicka, Prus nauczyli mnie myśleć, czuć i dążyć do czegoś i tak postępować, ażeby coś po sobie idącym pozostawić. Tyle już wiedziałem, że trzeba w sobie szukać jakiejś wartości, czytać co się da i co jest drukowane, ale czytać nie dla zabicia czasu, ale na pożytek własny i bliźnich. Czytać i szukać prawdy, odróżniać prawdę od urojeń, fantazję od rzeczywistości. Trzeba odszukać sens i cel autora i bohaterów powieści. Czytać i myśleć i wiedzieć co się czyta.

Z takim młodocianym pojęciem jechałem w świat daleki, nieznany. Do przyszłości się nie uśmiechałem, bo nie wiedziałem, co mnie czeka. Gnała mnie ciekawość, jaki ten świat nowy będzie, jakie to morza i lądy będą, o których tyle czytałem.

Pamiętam, gdy pochyliłem się matki rękę ucałować, na moje czoło spadły jej łzy. Szlochając nie mogła mówić, ale zdobyła się: — Pamiętaj, bądź dobrym. — I znów zalała się łzami.

Pogłaskałem Burka przy budzie, mojego wiernego towarzysza w gonitwach dla zabawy. Spojrzałem na moje roczniki niezgrabnie oprawione, i tak zostawiłem na progu łzy ocierające młodsze ode mnie siostry i matkę niosąc węzełek, uczuciem i ręką matki zawiązany, siadłem na wóz w szkapę jedną zaprzągnięty, która noga za nogą wlokła się po piaszczystej drodze w stronę Tomaszowa.

Im byłem dalej, tym ta mieścina, ten ciasny i mały dom był mi droższy. Ojciec rozmawiał z furmanem, a ja wyjąłem z kieszeni małe organki i smutnie mi się grało wlokąc z pomiędzy szczeble nogami po piasku. Był to hymn uczuć mojej młodej duszy.

Te wysmukłe topole świecące suchymi gałązkami i ten las dębowy jakoś mi inaczej szumiały. Dom ojców nikł mi z oczu, ginął dom po domu, ino świecąca w blasku słońca wieża kościoła była mi długo widoczna. Potem i ona znikła, tylko drzewa przydrożne coś mi szumiały a zielone pola zbóż kłoniły się przy każdym powiewie wiatru, co mnie muskał po twarzy i dłoniach.

Gdy mi się w drodze sprzykrzyło grać na organce, przebierałem palcami na fujarze wczoraj zrobionej z tarniny. Jakiś smęek i żal sam się wciskał do moich piosenek, coś mnie bolało. Przypomniały mi się te stare wierzby co nad strugą opodal naszego domu stały, jak niefraz siedząc koło nich, spuściłem z burty bose nogi do wody, siostry zbierały kwiatki na łące a ja im grałem na fujarce lub na organce albo czytałem beztrosko.

Gdy ojciec pożegnał się ze mną na granicy, bo za rubla czynownik przepuścił mnie, było mi czegoś żal i tęskno, a słowa ostatnie ojca: — Pamiętaj, nie zgub się we świecie! — szły daleko za mną.

(c. d. n.)

Jean Giono — chłopski pisarz francuski

(Dokończenie ze str. 5-ej)

sów potrzebne były rozległe i pełne metaforycznego kunsztu zdania. Opisu pierwotności dokona jednak biblijny język. Nie powstanie już paradoks w rodzaju „Historii Jakóbowych" (T. Mann), gdzie zawiła kombinacja stylistyczna powtarza stary Testament słowami późno secesyjnego prozaika. Giono uniknął podobnej sytuacji. Sprawy między ludźmi są przecież tak jasne, tak nieskomplikowane. Wszelakie trudności wprowadza dopiero cywilizacja wielkich miast. A tu? Tu we wspaniałym kraju, otaczającym zewsząd ciemne zabudowania Manosque i Villord l'Eglise wszystko odbywa się inaczej. Nie ma zaburzeń społecznych, nie ma rewolucji ustrojowych. Jest tylko człowiek i ziemia. Od kogo zależy Panturle? Jego los stanowi wynik doli człowieczej ludzkiego przeznaczenia. Krachy gospodarcze nie docierają na pustynię, gdzie żyje ten nowoczesny św. Hieronim. W „Bitwach w górach" także nie zobaczymy nic poza walką człowieka z żywiołem powodzi wśród Alp. **Filozofia naturalizmu** nie dopuszcza przecież żadnej innej interpretacji ludzkiego losu. Otrzymujemy reportaż wierny, dokładny. Kamera obejmuje dzieje wielu ludzi, wprowadza kilka wątków dziejących się równocześnie obok siebie, urywek świata ma stworzyć automatyczną rzeczywistość istniejącą samodzielnie, bez niczyjej ingerencji.

I znów naiwny realista zawołał: „Jakie to prawdziwe!" potwierdzając swym doświadczeniem wiarę w autentyczność odbywających się zdarzeń. Popełnia tautologię. Reportaż bowiem zawsze jest prawdziwy. A drobnomieszczańska literatura była takim wielkim reportażem notującym bezrobocie i wydatki urzędnika, redukcje w ubezpieczalni i zwyżkę cen. „Und was weiter kleinem Mann?" — zapytał Hans Tallada. **Wyrzeczono się podawania przyczyn** wyznaczających opisywane fakty. Książki stały się opowiadaniami **drobnego sklepikarza,** czy też emerytowanego referenta. Jak smutną pozycję zajmuje tu pisarz z gór, którego dzieła tak dobrze kiedyś będą dyskwalifikować estetyczne upodobania mijającej epoki!

Lech Budrecki.

W OSTATNIM 39 (118) NUMERZE „WSI"

z dnia 12 października 1947 r.:

Jan Aleksander Król — Tomasz Nocznicki; **Henryk Syska** — Tomasz Nocznicki na tle „Zarania"; **Maria Popielewska** — Powrót do miasta; **Stefan Wilanowski** — Polityka U. S. A.; **Adolf Kotarba** — Usłyszcie!; „Kapitał finansowy" (z dyskusji w redakcji „Wsi"): **Henryk Wyrzykowski, Janusz Roszkowski, Wiktor Fronczak; Józef Bińczak** — wiersze: Wieczór wiosenny, Tak niespodzianie, Święty Lilek; **Bolesław Dynda** — Powiastki paraflalne; **Józef Kapuściński** — Wieś doskonała; **Maksymilian Malinowski** — List do redakcji „Wsi"; **Antoni Smagły** — Które stanowisko?; **Piotr Pigwa** — Dwa języki; **Anna Kamieńska** — „Dzięcioł"; **Paweł Małydeszcz** Co to znaczy?; Komunikaty, ogłoszenia, 8 ilustracji, 8 stron.

Maciej Czuła

NIE TYLKO PRZODOWNICY

Nienową dyskusję: dla kogo należy we „Wsi" pisać przeciął redaktor „Wsi" Król w nr. 36, w artykule p.t. „Dla kogo piszemy?". Wynika z tego artykułu, że „Wieś" jest wydawana i redagowana nie dla przeciętnych wsiowych ludzi, nawet nie dla dojrzalszych kulturalnie, ale dla znikomej części wsi, dla przodowników nowego ustroju i systemu społecznego. To by było jasne i zrozumiałe.

Ale nie zupełnie jasne i nie tak bardzo zrozumiałe jest, dlaczego jedynie dla przodowników, a więc niejako pachciarzy, czy pośredników w dostarczaniu kultury na wieś. Dlaczego koniecznie „Wieś" ma być dla szerszego ogółu chłopów niedostępna niby gwiazdka na firmamencie? I dlaczego przez to miałoby się chłopu tamować zamiast uprzystępniać pewien system kulturalny, skoro przecież mogłoby być znacznie pewniej i pożyteczniej bezpośrednio go masom ludowym w przystępnej formie przedstawić? Czemu wreszcie przodownicy (nieokreślonego zresztą gatunku) mieliby być tymi opatrznościowymi mężami, niosącymi między lud „oświaty kaganiec", skoro ten lud już bezpośrednio sam potrafi wszelką wiedzę, o ile ona jest mu w sposób przystępny podawana — konsumować?

To, o czym pisze red. Król może znacznie opóźnić udostępnienie ludowi kultury i niefałszowanej oświaty. — Red. Król przytacza dla uzasadnienia swej tezy następujące argumenty:

1) Wieś od czasów pańszczyzny uczestniczyła zaledwie w 5 — 10 proc. w nagromadzonym kapitale kultury narodowej, a więc nie jest jeszcze zdolna wchłonąć w siebie masowo kultury, mimo że zwiększyły się jej potrzeby kulturalne.

2) Przebudowujemy odziedziczony układ społeczny, a taka przebudowa uświadamiać się musi w masach przez przodowników nowego porządku".

Czy redaktor Król ma rację?

Gdy w zaraniu ruchu ludowego rozpoczętego w drugiej połowie 19 w. w Małopolsce przez ks. Stanisława Stojałowskiego zaczęły wychodzić jego gazetki „Wieniec — Pszczółka", „Dzwon" i „Kalendarz", mówiono o nich, że były pisane „przedziwnym stylem", ponieważ ks. Stojałowski w czasach największej wśród ludu popańszczyźnianej ciemnoty, kiedy było 95 proc. analfabetów wśród ludu, gdy chłop się nazywał „cesarskim", a mówił mową nie polską ale ludzką, albo tutejszą, umiał ch o rzeczach ważnych mówić niesłychanie przystępnie, zrozumiale, kładł tym chłopom rozum jakby łopatą do głowy. Nie mogąc ich podnieść ku sobie, zniżał się sam do nich, poznawał ich krzywdy, żale, pragnienia i starał się je zaspokoić lub uchronić lud przed tymi wszystkimi upokorzeniami, jakich mu nie szczędzono.

Nie szukał na wsi przodowników, bo by ich zresztą ze świecą nie znalazł — ale sam niby apostoł dobrej sprawy tłukł się tygodniami na chłopskiej dryndze od wsi do miasta i naodwrót, zdejmując chłopom z oczu łuskę ciemnoty i nawołując do oświaty jako broni na wrogów chłopskich.

Na około 140 posłów, jacy zasiadali w końcu 19 wieku w Sejmie Galicyjskim, było 30 hrabiów i książąt, 40 obszarników, 15 księży i adwokatów, 25 mieszczan, 12 biskupów i profesorów, i zaledwie 16 chłopów i ludzi szczerze chłopom życzliwych. A cały ten reakcyjny skład Sejmu był wybierany w większości przez samych chłopów.

Mycielscy, Borkowscy, Skrzyńscy, Potoccy, Braniccy, Gołuchowscy, Szeptyccy, Badeniowie, Zamojscy, Tyszkiewicze, Wodzickcy, Stadniccy, Lubomirscy, Tarnowscy, Bawarowscy i wielu innych — żeby tylko wymienić najważniejsze rody hrabiów i książąt, reprezentowali w Sejmie włościaństwo polskie.

I kiedy konserwatyści albo Stańczycy mieli już w roku 1860 swój dziennik „Czas", to prasa ludowa pojawiła się dopiero około 1875 r., a pierwszy organ P.P.L. wyszedł we Lwowie w r. 1892.

Ale wszystkie te nowe gazety nie trafiłyby nigdy do mas chłopskich i robotniczych, gdyby redaktorzy nie byli zarazem przywódcami ruchów chłopskich i robotniczych, działaczami. Oni nie tylko pisali, ale przede wszystkim umiejętnie kolportowali swoje słowo drukowane na zgromadzeniach i wiecach, wożąc ze sobą „bibułę" i rozdając ją lub sprzedając słuchającym ich tłumom. Czesław Pieniążek sprzedaje „Wieńca — Pszczółkę" ks. Stojałowskiemu, a Bolesław Wysłouch „odstępuje" znowu „Przyjaciela Ludu" Stapińskiemu — bo ani Pieniążek, ani Wysłouch nie umieli z żywym słowem trafić do ludu, ale umieli to za to lepiej zrobić od nich urodzeni trybuni ludowi ks. Stojałowski i Stapiński, którzy potrafili swoje pisma utrzymać i rozwinąć. Zarzuca się im często, że szybko zrezygnowali z walki o prawa chłopskie i zeszli na politykę ugodową tak w stosunku do rządów zaborczych, jak i rodzimej reakcji. Że ks. Stojałowski wypisał na swoich gazetkach hasło hrabiego Krasińskiego: „Z szlachtą polską polski lud", a znowu Stapiński miał hasło „Rolnicy wielcy i mali łączcie się".

Otóż trzeba brać wypadki, jakie się w pewnym okresie historii rozwijały i ludzi w tych czasach działających nie według stosunków dzisiejszych, ale na tle owych koszmarnych czasów panowania szlachty, epoki, w której przypadło wodzom chłopskim działać.

„Zaklinamy was — głosiła klątwa rzucona na księdza Stojałowskiego i jego pismo w r. 1895 przez wnętrzności miłosierdzia Bożego, ażebyście pisemek tych („Wieńca — Pszczółki", „Przyjaciela Ludu" i „Naprzodu" — nie czytali ani nie popierali słowem ani pieniędzmi pod grzechem". A wieluż było wówczas chłopów, którzy się słowom klątwy oprzeć mogli?

Poza tym trzeba pamiętać, że bledni, ciemni i małorolni ówcześni chłopi gazety chętnie brali, nawet się uczyli na nich czytać, ale płacić za nie nie śpieszyli. Redaktor jeśli nie był posłem, i nie ratowały go diety, brnął w długi, zapożyczał się i w końcu żeby sprostać zadaniu wpadał w nędzę. Na 4,000 egz. „Wieńca — Pszczółki", jakie w roku 1911 drukowano w Białej, blisko połowa szła między lud za darmo, a taki sam stosunek panował w innych redakcjach pism ludowych. Pierwszych obrońców ludu łamała nie tylko reakcja, łamali ich i sami chłopi — ciemni, nieuświadomieni, a często z ciemnoty i chęci zysku — sprzedajni. Słynne były przecież galicyjskie wybory, gdzie za wódkę i kiełbasę obszarnicy kupowali od chłopów głosy.

W takich warunkach zwycięstwo nad reakcją musiało się odwlekać, bo kandydaci na posłów wystawieni przez stronnictwa ludowe upadali i reakcja tryumfowała, a siła chłopska się niweczyła.

Tylko bardzo powoli, krok za krokiem można było zdobywać pozycje szlacheckie w gminie, powiecie czy sejmie, bo nieorientujący się chłop dawał raz głosy na narodowego demokratę, to znowu na obszarnika, czy lizunów pańskich, aż się wreszcie i kandydatowi chłopu udało, czasem tylko przypadkowo, mandat zdobyć.

Wszak ks. Stojałowski mimo swojej — rzekomo ugodowej polityki wysiedział łącznie w różnych okresach swojej działalności w więzieniach lat 12, a przyśpieszyła mu śmierć zaglądająca w oczy nędza, w jaką wpadł, gdy go w roku 1911 utracił przy wyborach do Rady Państwa, ówczesny namiestnik Galicji Michał Bobrzyński.

Bo to, co byśmy dzisiaj nazwali ugodowością, było wówczas w czasach pełnych prostactwa i fałszu, czerwonym radykalizmem.

Zarzuca się także ruchowi ludowemu w Małopolsce, że był mniej radykalny niż w Królestwie, gdzie Malinowski, Nocznicki, Thugut czy Stolarski prowadzili lud więcej na lewo niż to np. czynił Witos, który nie żądał reformy rolnej bez odszkodowania. Trzeba jednak zrozumieć, że w Małopolsce, jak to red. Król nadmienia, jeszcze dla Słomki największą zdobyczą była „hipoteka", „święta własność". Była ona tak święta dla wszystkich chłopów, że jej nie mógł tknąć nawet Witos!

Ale mniej radykalniejsi od chłopów innych dzielnic myśmy nie byli, o, nie! Świadczą o tym prześladowania, więzienie, klątwy i długoletnia walka z klerem „na zęby i noże", świadczą olbrzymie ofiary, jakie chłopi z siebie podczas strajku chłopskiego w Małopolsce złożyli.

A jak to tłumaczyć, gdy w kraju najbardziej rozdrobionych gospodarstw, kraju przysłowiowej nędzy, największe wzięcie u chłopów miał przedstawiciel, jak to nazywano „bogatych chłopów" — Witos, a mniej go miał w krainie bogatszych chłopów, jakim było Królestwo?

W życiu politycznym zdarzają się niewiarygodne nieraz wydarzenia dziejowe i patrzeć na nie trzeba zdrowym okiem krytyka, z pewnego oddalenia, a należy czasem i mieć dobrą wolę, aby przyznać, że widocznie tak się musiało dziać i inaczej być nie mogło w owych czasach. A zwłaszcza życie polityczne szło wówczas po grudzie, jak z kamienia, i wielu bojowników legło w walce o swoje ideały. Wszelako ci, co pozostali, nieśli dalej wysoko sztandar demokracji i doczekali się jej zwycięstwa! I wszyscy, a nie tylko przodownicy położyli olbrzymie zasługi w walce o zdobycie praw dla chłopa.

Marian Narcyz Listowski

Wśród przodowników nowego ustroju

Szanowny kol. Redaktorze!

Przesyłając ten artykuł, przedstawiający myśli raczej ludzi praktycznej pracy ideologicznej a nie „literatów, który mówi także o sprawach organizacji kultury — zagadnieniu naczelnym 36 (115) numeru „Wsi", spodziewam się, że ten „trójgłos" znajdzie dla siebie miejsce w ogólnej na ten temat dyskusji.

Śląc pozdrowienia z dalekiej, podkresowej mieściny — całemu kolegium redakcyjnemu

pozostaję

M. N. Listowski.

Chełm, dnia 14 września 1947 r.

W związku z artykułem p. t.: „Oddział Wiejski, czy Sekcja Z.Z.L.P.?" („Wieś" nr. 36) wywiązała się u mnie w domu następująca dyskusja:

Głos pierwszy: Zjazd warszawski Oddziału Wiejskiego Z.Z.L.P. nie nastroił mnie optymistycznie. Wprost przeciwnie — uderzyło mnie, że pisarze Oddziału Wiejskiego chorują, są społecznie zdezorientowani i nie zajmują należytego stanowiska. Pisarz bowiem nie może być tylko pisarzem. Musi być także nauczycielem.

Zorganizowani wokół „Wsi" pisarze chcą właśnie uczyć. Kogo uczyć, dla kogo pisać?. Dla przodowników systemu społecznego, dla przodowników nowego ustroju, jak przed nami pisano dla przodowników minionego systemu społecznego" — powtórzę za J. A. Królem, Przodownikom trzeba cyfr, dat, rewizji zaplecza historycznego dziejących się przemian, tego żądają od pisarzy.

Głos drugi: Ciekaw jestem, czy literaci, którzy siedzą w Łodzi, wiedzą naprawdę, co się dzieje na wsi? Czy są świadomi przekonań naszej młodzieży — przekonań, które wyrosły ze złej nieraz tradycji kulturalnej?

Podaję, jako ilustrację takie fakty: W pewnej wsi woj. Lubelskiego noszącej nazwę Ryki przy szosie lubelskiej jest cmentarz żydowski. Przy odkopywaniu zwłok pilnie szukają chłopi złotych zębów. Dla zabawy łopatą połowią czaszki. Na cmentarzu leży cztery tysiące żydowskich ciał — dzieło niemieckich oprawców. Kiedy się im zwróciło uwagę na fakt, że to przecież szczątki ludzi i męczenników — odpowiedź jest jedna: „Przecież to tylko żydowskie". I drugi fakt, cytowany dosłownie z notatki prasowej: „Przy drodze Wojsławickiej, w Borku, znajduje się cmentarz jeńców sowieckich, którzy zginęli w obozie pod Chełmnem. Na cmentarzu stoi pomnik z czterech granitowych ciosanych głazów. Ktoś bestialsko rozbił wmurowaną w pomnik płytę, i zeszpecił pomnik, kruszac cegły podmurówki. Na cmentarzu mieszczącym 100.000 pomordowanych jeńców pasą się krowy. 20 sierpnia przybyli na cmentarz trzej żołnierze radzieccy, którzy widząc spustoszenie pomnika wyrazili się, że „barbarzyński faszyzm ma jeszcze w Polsce swoich sympatyków". Wstyd — naprawdę wstyd, że nie potrafimy uszanować męczeństwa .

I tak się dzieje na wsi, jeszcze trzy lata po wojnie. Czy chłopscy pisarze o tym wiedzą?

Głos pierwszy:

Rozumiem twoje słuszne oburzenie, ale nie widzę połączenia tej sprawy ze sprawą „Wsi", a nawet pisarstwem ludowym w ogóle, co najwyżej z dziennikarstwem. Bo przecież nie będziesz żądał by pisarz ludowy, czy współpracownik „Wsi" pędził na wieś, wyszukiwał podobne przytoczonym fakty i trąbił potem na alarm i bił w pożarne dzwony.

Głos drugi:

Dlaczego by nie — napewno nie przyniesie mu to ujmy, a sprawa ta ważna i pilna zamknęła by się w ramach przewidzianego przez W. Jażdżyńskiego „planu gospodarki ludźmi".

Powiedziałeś, że piszemy dla przodowników nowego porządku. Jednak tacy właśnie przodowhicy, kiedy mówi się o reformie rolnej, o upaństwowieniu przemysłu ściszają często głos i szepcą, że to propaganda tylko, żeby zjednać sobie chłopa i robotnika, ale napewno jak nie za rok to za dwa założą wszędzie kołchozy.

Głos pierwszy:

Zgoda — ale nie zapominaj, że tak nie jest wszędzie. A, że spotykamy jeszcze typ takich „Zawalidrogów" Seweryna Skulskiego można mieć pretensje do pisarzy chłopskich Oddziału Wiejskiego.

Głos trzeci:

Bardzo słusznie zauważyłeś. I ja myślę, że pisarz ludowy powinien oddziaływać na postępowych przodowników nowego ustroju i także na „Zawalidrogów". Wetknąć im w rękę gazetę, wziąć za rękę, pokazać i wytłumaczyć, że nawet kiedy mówią o nowej rzeczywistości, tkwią jeszcze w starym już, przedwojennym liberalnym systemie myślenia. Bez takiej pomocy sami oni nie zrozumieją błędów swojego myślenia i innych.

Jeżeli w dyskusji, którą toczą różni pisarze w Redakcji „Wsi" po zjeździe warszawskim — Wiesław Jażdżyński na zakończenie mówi: „Brak jest w Oddziale Wiejskim widzenia społecznego, nie ma żadnego planu gospodarki ludźmi" — to mówi słusznie. Pisarze Oddziału Wiejskiego odwrócili się od problematyki społecznej wsi, zostawili ją samej sobie, a sami piszą tylko piękne, artystyczne wiersze.

My, czytelnicy „Wsi" chcielibyśmy widzieć w niej artykuły traktujące o bolączkach społecznego sposobu myślenia na wsi. Chcielibyśmy więcej — żeby pisarze Oddziału Wiejskiego więcej dbali o zdrową myśl chłopską, o czystość poglądów demokratycznych, niż o przestrzeganie „tak zwanego poziomu artystycznego, który dla Przybosia jest jedynym kryterium literackiej oceny". Niech się pan Przyboś nie obrazi, niech się nie obrazi żaden z pisarzy. Dotąd będziecie leżeć na półkach księgarń, dotąd otrzymywać będziecie w kolportażu połowę nakładu do zwrotu, póki „Zawalidrogi" mówić będą, że „Związek Sam. Chłopskiej to jaczejki komunistyczne. Bez różnicy jaka spółdzielnia to kołchozy, świetlice, domy ludowe, organizacje „Wici" i Z.W.M. to bezbożnictwo. Gazety, odczyty, święto pierwszo-majowe, kino, radio, książki, to wynalazek bolszewicki".

Bo rzeczywiście, trudno uzyskać nie przekonanego ideologicznie czytelnika. A gdy gazety, książki będą zalegały tylko półki księgarskie i składy, to razem z nimi będzie wiądł i poziom artystyczny, o który tak w Oddziale Wiejskim chodzi. Krytykiem książki jest czytelnik. Bierze on do ręki taką jaka jest mu bliska w zagadnieniach, w której żyją myśli i wyjaśniają się sprawy bliskie mu a niejasne dla niego. Czytelnik jest konsumentem i on daje zapotrzebowanie na rynek. W ten sposób tworzy się inne kryterium oceny, niż poziom artystyczny. Książka staje się potrzebą człowieka pracy, gazeta staje się podręcznikiem przodownika na wsi.

Anna Kamieńska

A jednak przodownicy

Maciej Czuła w polemice z artykułem J. A. Króla „Dla kogo piszemy" sięga do własnych wspomnień dotyczących historii ruchu ludowego, zwłaszcza w Galicji, aby stwierdzić, że nie tylko przodownicy, ale cała masa chłopska była wciągnięta w wyzwoleńczy ruch wsi.

Tymczasem fakty przytoczone przez Czułę dowodzą nie czego innego jak tezy, z którą polemizuje.

Opierając się na słusznej zasadzie, jakiej domaga się Czuła — ujmowania zjawisk społecznych w historycznym kontekście — można stwierdzić niewątpliwą rożnicę metod działania pierwszych „budzicieli" ludu, a współczesnych działaczy — organizatorów. Czuła pokazuje metody dawnych działaczy jako osobiste kontakty ze wsią i wysiłki uświadomienia politycznego wszystkich chłopów. Ustrój parlamentarny oddawał bowiem ciemne masy chłopskie na łup grupy poselskiej wybieranej przez chłopów, ale rekrutującej się ze szlachty i arystokracji. Do czego natomiast dążyli ci, którzy pragnęli stworzyć chłopską reprezentację wsi w Sejmie Galicyjskim? Chcieli wyłowić z bezkształtnej masy chłopskiej — **grupę przodowników,** grupę która miałaby świadomość klasową za całą resztę, pozbawioną tej świadomości, grupę awangardową. To samo dotyczy walki o pozycję administracyjne w gminie i powiecie. Trzeba było wysunąć na te pozycje chłopów przodowników.

I wysuwano. Zaczęło się to właśnie od czasów, które pamięta Maciej Czuła. „Na 140 posłów, jacy zasiadali w końcu 19 wieku w Sejmie Galicyjskim było... zaledwie 16 chłopów... A cały ten reakcyjny skład sejmu był wybierany w większości przez samych chłopów" — pisze Czuła. W sejmie Rzeczypospolitej więcej było tych chłopów. Samo Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast" liczyło w 1919 roku 58 posłów, w tym ledwie było 12 chłopów. — Ci zaś pochodzili przeważnie z grupy bogatych chłopów, na których liczyła inteligencja bratająca się z ludem. To ona jako prawomocna, jako realizująca ustrój wychowywała sobie tych przodowników wsi i takich przodowników, jacy byli jej potrzebni. Nic dziwnego, że szukała ich wśród chłopów bogatszych, dorabiających się. Wzajemne ich interesy spotykały się i uzupełniały.

Pisze Czuła, że żaden z działaczy ludowych „nie szukał na wsi przodowników, bo by ich zresztą nawet ze świecą nie znalazł". Przyjmijmy na wiarę to twierdzenie. Tym bardziej jasne się staje, że zaistnienie tych przodowników, zaistnienie ich na **różnych szczeblach organizacyjnych** i na **różnych stopniach myśli i praktyki społecznej** stworzyło dziś **nowe możliwości metod społecznego działania,** skuteczniejsze i ekonomiczniejsze — działanie poprzez światlejszych przedstawicieli tych szczebli i stopni i to nie byle jakich, ale określonych, tak jak określona była sfera chłopów, których wysuwano do reprezentacji w Sejmie Galicyjskim i w sejmie 1919. W Sejmie Galicyjskim i jeszcze w sejmie 1919 roku trzeba było zobaczyć chłopa - wąsacza, lub chłopa sukmannego, żeby wiedzieć, że i chłopi mają swoją reprezentację. Nie liczył się inteligent pochodzenia chłopskiego, bo nie był on właśnie przodownikiem żadnej grupy chłopskiej, bo nie było w zasadzie inteligencji chłopskiej. Tego stopnia społecznego jeszcze chłopi nie potrafili osiągnąć. Inteligent pochodzenia chłopskiego rozpływał się w inteligencji miejskiej, szlacheckiej i z nią się solidaryzował. Dlatego też pisze Czuła, że ze świecą nie znalazłoby się przodownika w masie chłopskiej. Czy słusznie jednak?

Było na wsi według danych Czuły 95 procent analfabetów. Jasne jest, że pisma dla ludu nie dla tych 95 procent, a dla grupki pozostałych pięciu były głównie przeznaczone. To ci nieliczni czytający dostawali do rąk pismo, aby je czytać i objaśniać wielkiej masie ciemnych. Czymże była ta grupka czytających w ujęciu redakcyj pism ludowych, jak **nie pierwszymi przodownikami,** do których się zwracała publicystyka ludowa, na których liczyła. A ci pierwsi przodownicy to często ludzie z „trzema zimami" szkoły powszechnej.

Pisze dalej Czuła o klątwach rzucanych przez duchowieństwo katolickie na czytelników tych pisemek. „A wieluż było wówczas chłopów, którzy się słowom klątwy oprzeć mogli?" — pyta. Mało ich było. Klątwa, tzn. walka z postępem na wsi jeszcze zwężała grupę przodowników wsi, było to wybieranie z wybranych. Ci, co się klątwy ulękli, odpadli. Ci tylko, co pozostali, mogli dalej oddziaływać w myśl inspiratorów ruchu ludowego, w myśl politycznego sztabu.

Podaje Czuła, że w roku 1911 drukowano w Białej 4000 egzemplarzy „Wieńca - Pszczółki". Czy jest to nakład pisma przeznaczonego dla milionowych mas chłopstwa, czy też tylko dla jego wybranych przedstawicieli? Więc nie prawda jest, że redaktorzy pism ludowych w czasach młodości Czuły nie szukali przodowników. Szukali ich, tylko — szukali omackiem, nawet bez świecy w ręku. Masa chłopska nie była **organizacyjnie zróżnicowana, adres przodowników był z konieczności niepewny i nieokreślony.** Jasne jest jednak, że pisma te trafiały **do grup, nie do mas.** Wystarczy przypomnieć co Maksymilian Malinowski pisał w liście do „Wsi" o „Kmiotku" czytanym głównie przez włodarzy i ekonomów. Dziś są to grupy spółdzielców, samopomocowców, oświatowców wiejskich, do których pisma chłopskie adresują. Dlatego istnieje dziś obowiązek tworzenia pism już i dla wyższego piętra przodowników, skoro to pierwsze się rozszerzyło i utrwaliło. Tę funkcję pełni właśnie „Wieś", zwracająca się **do** inteligencji chłopskiej i wyrażająca jej postępową myśl.

Ale czy przez to zamyka się wsi bezpośredni dostęp do kultury?

FAKTY I ZDANIA

Ameryka piastuje żmiję

Przed kilku tygodniami Ameryką wstrząsnęła naprawdę zatrważająca wiadomość: plany i fotografie bomby atomowej zostały skradzione z jednego z zakładów doświadczalnych w stanie Tennesee. Wiadomość tę, podaną w bardzo sensacyjny i napastliwy sposób, zamieściło pierwsze pismo „The New York Sun" — a za nim wszystkie inne pisma Ameryki. Trzęsło się wtedy w całej Ameryce, w prasie, w radio, w kongresie. W histerycznym obłędzie krzyczano na „czerwonych" — własnych i cudzych. Była jeszcze jedna okazja do napaści na państwa, ośmielające stawiać się okoniem potentatom z Wall Street, także i władcom w Departamencie Stanu.

Sensacja okazała się jednak efemeryczną — i wszystko naraz ucichło. Stało się to zapewnie dlatego, że p. Dawid Lilienthal (nawiasem mówiąc, Żyd, którego rodzina pochodzi z Polski) przewodniczący Komisji Badań Atomowych, wyjaśnił Kongresowi, że nic takiego się nie stało za jego urzędowania i, że to właśnie podczas rządów armii na tym polu, dwu sierżantów armii amerykańskiej, skradło z zakładów atomowych w Las Lamos, na pustyni New Mexico, pewne plany i fotografie, które jednak zostały w porę zabezpieczone i zwrócone do Las Lamos.

Sprawa ta była znana przywódcom Kongresu — jak wyjaśniono — od dawna, postanowiono ją jednak trzymać w tajemnicy, aby nie niepokoić publiczności amerykańskiej. Życzył sobie tego także U. S. Inteligence Corps. Według ogólnego mniemania sprawę wywlókł na światło dzienne Mr. J. Parnell Thomas, przewodniczący Kongresjonalnego Komitetu badań działalności antyamerykańskiej — i sprzedał ją do brukowego „The New York Sun". Naczelny „pożeracz czerwonych" Ameryki, jakim jest Mr. Thomas, chciał przy tym zwiększyć zapewne zaniepokojenie, dające się coraz wyraźniej odczuć w Ameryce — jednak strzał okazał się niecelnym — nawet bumerangiem — ugodził nieforłunnego strzelca, Mr. Thomasa...

Kto naprawdę chciał te plany skraść, można się domyśleć po nazwiskach oskarżonych sierżantów. Jeden z nich nazywa się Alfred von Lustenberg — i zostało mu przebaczone wszystko. Czyżby z powodu owego „von"?

Ameryka była zaniepokojona, że jej najgroźniejsza broń przestała być tajemnicą — i co za tym idzie, i w co wierzą niektórzy, ich krajowi grozi poważne niebezpieczeństwo. Głodni władzy politykierzy, małomiasteczkowi politycy, wielcy bankierzy i jeszcze więksi przemysłowcy, rwali resztki włosów z łysin i peruk w rozpaczy, że i dolarowa hegemonia może stopnieć wraz z A-bombą. Chociaż nic groźnego właściwie się nie stało.

Jest jednak w Stanach Zjednoczonych rzecz groźna i naprawdę niepokojąca — która rzeczywiście zagraża bezpieczeństwu i ich najżywotniejszym interesom, potędze, zdrowiu i życiu obywateli tego pięknego kraju. Wiedzą o tym wszyscy — ale nikt nie bije na alarm, wszyscy zajęci są raczej „czerwonym histeryzowaniem". (Można się rzeczywiście zaczerwienić... ze wstydu). Nie piszą nic o tym, głodne zwykle sensacji dzienniki, nie interesują się, tak bardzo czujne, Federal Bureau of Investigation (tajna policja federalna) i nie poczyna krzyczeć i rwać szat na sobie, przewodniczący kongresjonalnego Komitetu badań działalności anty-amerykańskiej, Mr. J. Parnell Thomas i jego godny kompan Mr. Rankin, dokonujący niemożliwego wprost posunięcia, aby w stan oskarżenia postawić, dawnych ochotników Brygady Lincolna, walczących w Hiszpanii przeciwko gen. Franco i Hitlerowi.

Cisza panuje wokół tej potwornej, niesamowitej sprawy — sprawy „uczonych" niemieckich" w Ameryce. Jest tych uczonych tutaj przeszło 400, przywieziono ich już po wojnie i rozmieszczono po wszystkich jawnych i tajnych zakładach doświadczalnych U. S. Army, po całym kraju. **Zajmują oni zwykle kluczowe stanowiska.** Szpiedzy niemieccy nie potrzebują krążyć niepewnie wokół dobrze strzeżonych zakładów i fabryk. Niemcy są przecież w środku tych dobrze strzeżonych obiektów, mają wgląd we wszystko, wszystko przechodzi przez ich ręce, nic nie jest dla nich tajne. Największe tajemnice, najnowsze wynalazki, najnowocześniejsze metody badań — wszystko to, czego armia amerykańska zazdrośnie strzeże, nawet przed oczyma swych wybitnych obywateli, jest sprawą na codzień" dla 400 Niemców. Mogą oni robić zapiski, plany, uczyć się wprost na pamięć. Nikt ich bowiem nie kontroluje. Są oni wszędzie. W zakładach bomby atomowej, w warsztatach budowy rakiet, w fabrykach broni i amunicji. I są to przeważnie hitlerowcy. Armia amerykańska przeprowadziła wprawdzie „screening" — dochodzenie — nad każdym z nich — ale taki sam „screening" przeprowadzało i Gestapo — i nic nie znalazło! Według opinii amerykańskich uczonych, ludzie ci nie zasługują na nazwę „uczonych" — są to raczej bezduszne automaty i gorszego gatunku technicy. Tutaj dopiero się uczą, rzeczy takich, o jakich pojęcia nie mieli. Uczeni? Są to przeważnie młodzi ludzie, członkowie Hitler Jugend, fanatyczni zwolennicy Hitlera, — i apostołowie nazizmu w Ameryce. Znamienna rzecz — gdy w Wright Field, Ohio, miała miejsce kłótnia pomiędzy Niemcem - nazistą i Niemcem antyhitlerowcem, władze amerykańskie **bezwzględnie stanęły po stronie... hitlerowca.**

Nie pomagają także protesty prawdziwych uczonych niemieckich, pochodzenia żydowskiego, którzy musieli uciekać przed Hitlerem w 1933 r. Armia amerykańska, poszczególne departamenty ministerstw wojny i obrony narodowej, prześcigują się w ugłaskiwaniu tych 400 Niemców. W zakładach budowy rakiet, t. zw. V-2, w White Sand, New Mexico, pracuje kilkudziesięciu Niemców i rządzi nimi wszechwładnie — jak i uczonymi amerykańskimi — Werner von Braun — odznaczony osobiście przez Hitlera, za zasługi wojenne „krzyżem rycerskim z liśćmi dębowymi" — najwyższym odznaczeniem niemieckim. Tamże w White Sand, N. M., pracuje Rudolf Hermann z Pinemünde, człowiek, który stworzył V-1 i V-2. W Wright Field, Ohio, pracuje Heinz Fischer, znany hitlerowiec, specjalista od badań promieni infra - czerwonych. Armia U. S. „ofiarowała" mu stanowisko profesora uniwersytetu w Syracuse — ale wskutek protestu profesorów amerykańskich „nominację" cofnięto. Tamże w Wright Field, Ohio, pracuje Herbert Axter — i tu widać co były warte „screenings" amerykańskie — bowiem Herbert Axter był znanym hitlerowcem i prawnikiem, podobno szpiegiem — ale nigdy nie był uczonym, ba, nawet technikiem. Taki „specjalista" znajduje się w jednym z najpoważniejszych ośrodków wojskowych Ameryki. Żona H. Axtera była przywódczynią N. S. Frauenschaft. Na uniwersytecie w Bostonie prowadzi laboratorium doświadczalne Oberst Claus Aschenbrenner — dawny pułkownik Luftwaffe. Jego żona jest dawną przywódczynią B. D. H. W jednym z ważnych zakładów w Maine, na 6 „uczonych" niemieckich — tylko trzech ma dyplomy uniwersyteckie i są pono „technikami" — pozostali trzej nie są wcale wybitnymi specjalistami i mają „inne zadania". Nie trudno się domyśleć jakie! Naogół publiczność się burzy przeciwko tym Niemcom — gdy firmy Remington Rane i Clunes Press chciały sprowadzić ich do siebie, wywołało to taką burzę protestów, że wszystkim przemysłowcom odechciało się zatrudnienia Niemców. Ale U. S. Army zatrudnia ich masowo. Jest to rzecz wprost niesamowita. Najgroźniejszy wróg ludzkości zamiast kary, został zaproszony do budowy nowych rodzajów broni, które mogą zniszczyć naszą cywilizację. Najgroźniejszy wróg człowieczeństwa — Niemiec — miast pokuty, uczy się i poznaje, jak można masowo tępić człowieka. Jest to zjawisko potworne, które winno zaalarmować cały świat: Ameryka na swych piersiach piastuje, karmi i hołubi żmiję ze wszystkich żmij najjadowitszą, bo hitlerowsko - niemiecką. Piastuje ją, karmi i hołubi przeciw Polsce, przeciw Europie, przeciw samej sobie i całemu światu.

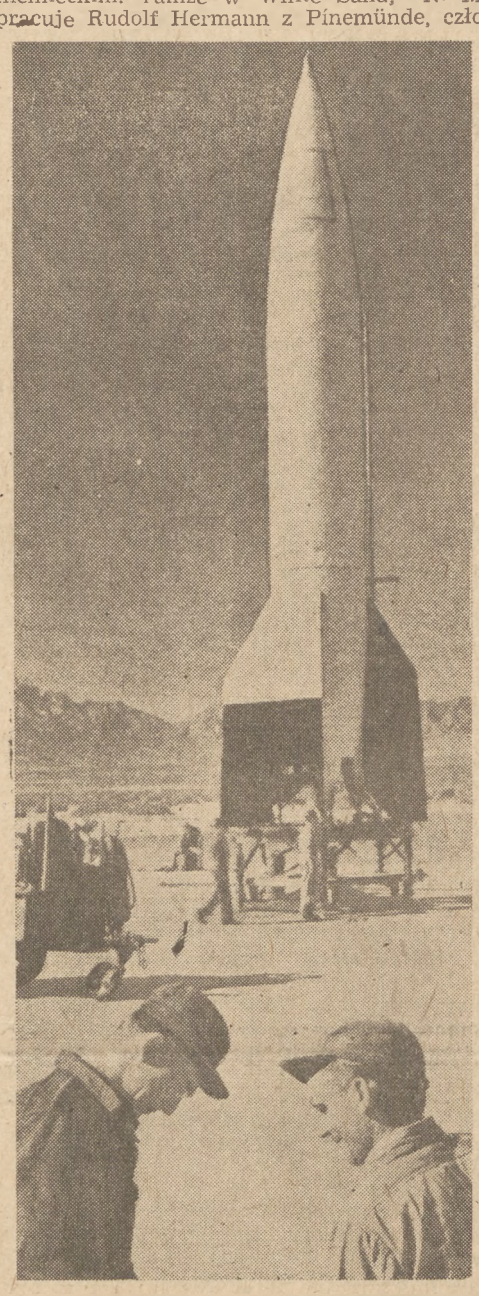

Fotografia Wernera von Braun i Rudolfa Hermanna w WHITE SAND, New Mexico nad budową V 2. Zdjęcie robione w maju br. Zamieszczone w „The New York Times".

Norman P. Caulfield

New York, 1 sierpnia 1947.

Cepy

Jesteśmy świadkami wielkiego przewrotu, jaki się dokonuje we wszystkich dziedzinach naszego życia. Przemiany są tak głębokie, że przed nimi nie ostało się nic, nawet nasz odwieczny zwyczaj używania cepów. Brało się te cepy do rąk w kilka tygodni po żniwach i odtąd z małymi przerwami pracowało się na klepisku stodoły do połowy zimy, a nawet dłużej. Na klepisku zastawały nas szarugi jesienne i pierwszy śnieg, tu nas zastawały zimowe zawieje i mrozy...

Czasem tylko tu i ówdzie zastępowała nas młockarnia o napędzie konia, a czasem wołu...

A dziś? W każdej wsi słychać młot obsługujący młockarnię, w każdej niemal stodole motor na krótki czas zagości... A cepy? Są. Wpadłem w irytację z tego powodu, że cepy jeszcze są. Że jest jeszcze ten dzierżak moimi własnymi dłońmi wypolerowany, że jest ten bijak potrzaskany na pędzel i że w ogóle przecierpiałem z powodu tych cepów tyle jesieni i zim... Precz z cepami!

Po chwilowym uniesieniu przyszła chwila na myśl, co z nimi zrobić, z tymi cepami. Zniszczyć ot tak poprostu, to nie żadna sztuka i satysfakcji to żadnej nie daje... — Do muzeum oddać — myślę — ale gdzie jest takie muzeum, które by cepami zaprzątało swoje sale? A może je w gablotkę za szkłem umieścić? Na to nie zasłużyły. Postanowiłem więc pozbyć się tego narzędzia samoudręki przy pomocy łopaty. Po prostu zakopać. Kopię więc dół w miejscu ustronnym, a sąsiad przychodzi i pyta, na co.

— Cepy chowam uczciwie — mówię. — No to twoje szczęście, że nie zamierzasz pochować młockarni z lokomobilą — śmieje się sąsiad — ale jeśli pochowasz, to jakiś nagrobek należałoby tu dać i napis pamiątkowy, czyli epitafium. Mądry jest ten mój sąsiad i cenię go wielce, ale coś za bardzo ze mnie pokpiwa.

Patrzę na niego, ale on minę ma poważną i ani myśli pokpiwać. Cepy — mówi — zasłużyły na dobrą pamięć o nich.

Uznałem za słuszną uwagę mego sąsiada i poszedłem za jego radą... Wnet ułożyłem epitafium, które brzmi, jak się przekonacie, niezgorzej, a nawet pięknie. Tak oto: Tu leżą cepy a z nimi leży me zdrowie przy nich sterane. Niechże im lekko będzie w tej ziemi. O cepy! O cepy, kochane!

Z wypisanym na desce epitafium stanąłem nad miejscem wiecznego spoczynku cepów. I już miała zadudnić ziemia, już miały losy cepów rozstrzygnąć się, gdy mi do głowy nasunęła się uwaga. Coś mi szepnęło: Pochowasz cepy, a z czymże pójdziesz na dożynki? Z pożyczoną młockarnią? Podumałem chwilę... Cepy wyjąłem z dołu... — Odmuchałem je z piasku i kurzu... Deskę z napisem zniszczyłem... A wszystko, — wiecie — ze względu na dożynki... na występ dożynkowo-artystyczny, gdzie występuję w roli młocka nieszczęsnego... Dlatego to te cepy są u mnie jeszcze.

St. S. Gębala

Indyki, ptaki filozoficzne...

Mój drogi!

Kiedy rozmawiałem niedawno z pewnym wysoko w hierarchii postawionym jegomościem na temat analfabetyzmu na wsi i sposobów jego zwalczenia — zaproponował mi byśmy **w Wiciach** ogłosili przyjętą modą konkurs — ankietę p. t. **Jak zostałem analfabetą** i na podstawie jej wyników i t. d.

Postawienie sprawy wydało mi się bardzo mądre, rzec można — naukowe, nie mogłem tylko, jakoś uwierzyć, żeby analfabetyzm był kwestią wyboru. Sądzę, — zwierzyłem się mojemu rozmówcy — że jest to przecie kwestia determinantów takich, jak dziedzictwo po państwach rozbiorczych, skutki okupacji, długotrwałej ciężkiej sytuacji materialnej wsi, brak szkół, pozorny a nie rzeczywisty przymus szkolny, brak nieustannego kontaktu z pismem i drukiem etc. etc.

Chciałem mówić jeszcze dłużej i udowodnić memu rozmówcy, że nie w piątkę gonię, że nie jestem byle „cep małorolny", że potrafię utrzymać się na wysokości jego umysłu — gdy przerwał mi ze śmiechem w taki mniejwięcej sposób.

— Bywają sytuacje w których gruntowne rozpoznanie przyczyn jakiegoś groźnego dla nas zjawiska jest sprawa drugoplanową. Gdy widzę walące się na mnie cegły, byłbym głupcem koronnym gdybym, miast chronić się przed nimi wszelkimi rozporządzalnymi sposobami, usiłował najpierw zasięgnąć opinii inżynierów co do przyczyn zawalania się kominów i czekał na wykoncypowane przez specjalistów środki zaradcze. Podobnie i z analfabetyzmem. Wiemy, że jesteśmy państwem zniszczonym przez wojnę, wiemy dalej, że realny i szeroki przymus szkolny jest zależny od wystarczającej ilości budynków szkolnych, ich urządzeń i odpowiedniej liczby nauczycieli, wiemy wreszcie, że wszystko to jest muzyka przyszłości bo w obecnych warunkach budżet Ministerstwa Oświaty jest jednym z najskromniejszych budżetów, na cóż więc u Boga Ojca — jak mawia Żółkiewski w „Kuźnicy" — mamy czekać? Na bezpośrednią interwencję Ducha św., który nauczy analfabetów czytać i pisać, a byłby to nawiasem mówiąc duch bardziej skromny i nowoczesny?

— Jesteś Wiciowcem? — pyta mię mój rozmówca.

— Tak jest — odpowiadam — ale co to ma wspólnego z Duchem św. Choć staramy się doskonalić wewnętrznie, nigdy nie słyszałem, żeby Duch św. pośród nas się objawił.

— Tego można być pewnym — mruknął mój rozmówca choć dotąd niewiem co miał na myśli.

— Czy wam jednak nigdy nie przyszło do głowy, że wy, z racji specyficznej formy gospodarki na wsi, będąc zwolnieni z młodzieżowego wyścigu pracy dla społeczeństwa, moglibyście zorganizować taki wyścig na odcinku walki z analfabetyzmem wiejskim? że ambicja waszych kół powinna być jak najszybsza likwidacja analfabetyzmu w waszej gminie czy gromadzie?

Tak mówił mi ów jegomość. Przyznam Ci, że mnie to trochę podnieciło. Zaraz opowiedziałem tę rozmowę na naszym Uniwersytecie Ludowym. Takiej ciekawej dyskusji i tylu indywidualności próżno byłoby szukać gdzie indziej. Aż satysfakcja brała **słuchać,** jak oni o tym analfabetyźmie **mówili.** Najciekawiej jednak, ujął tą sprawę nasz wykładowca, który poradził nam życzliwie zastanowić się najpierw: czy analfabeci nie są czasem ludźmi szczęśliwszymi i doskonalszymi, bliższymi natury i przodka naszego — — Piasta?

A co wy, w **Wiciach** o tym sądzicie? co zamierzacie zrobić? **Bolesław Wsiydliwy**

Niech nie wie lewica...

Naczelny organ Związku Młodzieży Wiejskiej R. P. — „Wici" Nr 40, z dnia 5. 10. 47 zamieszcza krótkie omówienia z ostatnio wydanych i godnych przeczytania wydawnictw książkowych.

Józef Nikodem Kłosowski, autor wspomnianych omówień poleca wiciarzom czytać powieść Witolda Zechentera „W Babskim Domku" — książkę napisaną „z prawdziwą narratorską swadą, pełną subtelnej znajomości duszy dziecka i szczerego liryzmu".

Młodzież wiejska powinna czytać także i książkę Ewy Szelburg Zarębiny — „Chustę Św. Weroniki". „Akcja powieści jest zasadniczo skąpa — pisze Kłosowski mało efektowna, ale za to spojrzenie autorki w głąb duszy bohaterów zdumiewa nas swoją niezwykłą ostrością, trafnością i przenikliwością".

Szanowny autor (nied)omówień „Wici" poleca wreszcie „Słońce w herbie" K. Makuszyńskiego, ze względu na „sielską i anielską" atmosferę, „jaka panuje w cichym dworku. To wszystko — pisze — co mówią i czynią ci ludzie jest dzisiaj zbyt piękne, by było prawdopodobne. Wśród ludzi o anielskich sercach rozgrywa się dramat. Jest tutaj i czarny charakter Alojzy Szok. Rzecz kończy się jak zwykle u K. Makuszyńskiego, słonecznie".

Racja! Jest właśnie czas, w którym najlepiej wrócić do zagadnień „subtelnej znajomości duszy", w „sielską, anielską atmosferę cichego dworku". Jakże dobrze, że w takich powrotach „Wici" zawsze jeszcze przodują!

Należałoby poza tym zaproponować w organie naczelnym Związku Młodzieży Wiejskiej R. P. wznowienie i gorąco polecić wiciarzom do czytania np. „Portrety Pań Wytwornych" — St. Wasylewskiego — książkę, o której napisałby zapewne Józef Nikodem Kłosowski, że wszystko, co czynią i mówią jej bohaterki jest dzisiaj zbyt piękne, by było prawdopodobne".

W czasie, kiedy przed ruchem wiciowym stoi od lat nierozwiązane jeszcze zagadnienie rewizji całej dotychczasowej działalności społeczno - kulturalnej, przekształcenia tej działalności w jasno wreszcie postawioną i zorganizowaną akcję upowszechnienia kultury na wsi, zwalczania analfabetyzmu, kiedy trzeba dobrze pomyśleć, jak dostroić liberalną strukturę gospodarstw chłopskich do uspołecznionej planowej gospodarki narodowej — nie wystarcza „subtelna znajomość duszy". — Inaczej udział „Wici" w zawartym ostatnio porozumieniu organizacji młodzieży, chcącej iść w zorganizowanej masie do palących zagadnień społeczno - gospodarczych — zostanie zmarnowany. A przecież kto jak kto, ale „Wici" nie powinny już marnować takich okazji.

Przodownikom ruchu wiciowego należy podsuwać inną lekturę, która mogłaby dawać naukowe podstawy do rozwiązywania zadań, jakie przed nimi i przed całym zorganizowanym ruchem młodzieżowym stoją. Wyszły przecież „Dzieje Chłopów" — prof. St. Śreniowskiego, „Kapitalizm w rozwoju dziejowym" — prof. N. Gąsiorowskiej.

W takie książki należy zaglądać wiciarzom, aby sprawa Polski Ludowej, sprawa wsi kończyły się „słonecznie".

P. S. Ukazała się ostatnio książka Witolda Kuli p. t. „Dzieje gospodarcze Polski 1864—1918".

Wiesław Jaździński

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskiej.
Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 133, II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" - Łódź, ul. Żwirki 2. D—017836